



24 198
ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 982

DROGA

N5

MIESIĘCZNIK

D R O G A

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWIE ŻYCIA POLSKIEGO

ROK 1935

ROK XIV

Nr. 5

T R E Ś Ć

Jan Starzewski: In memoriam	393
Tadeusz Szpotański: Na szlakach historii	395
Henryk Domański: Piłsudski	399
Wilam Horzyca: Żywa obecność Piłsudskiego	401
Kazimierz Kosiński: Wizja Józefa Piłsudskiego	405
Antoni Anusz: Wymowa śmierci	413
Roman Kołoniecki: Śmiertelna ballada	417

Andrzej Jałowiecki: Kryzys gospodarczy w świetle ostat-
niego stulecia 426

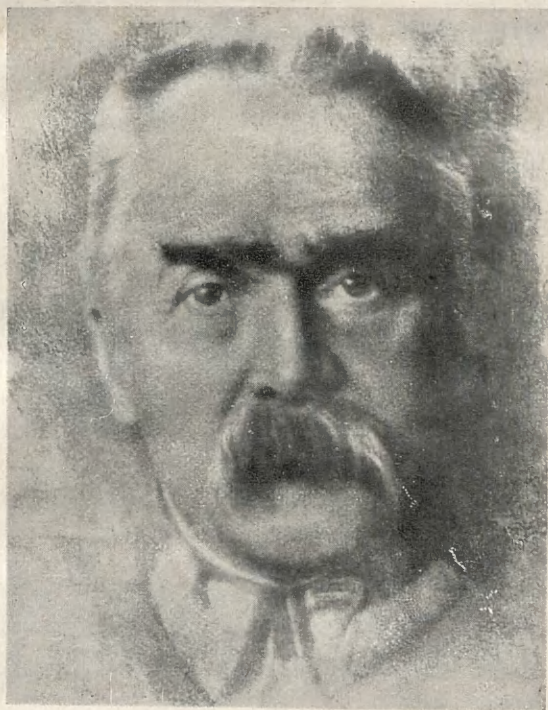
Ludwik Fryde: „Noce i dnie” 448

Władysław Maliniak: Fetyszyzm prawniczy w doktry-
nach konstytucyjnych (III) 467

SZTUKA. Wystawa Polskiej Sztuki Gotyckiej w I. P. S.
(Leokadja Bielska) 482

KSIAŻKI. Dr. Stefan Truchim: Pierwsza bateria haubic
Legionów Polskich (Aleks. Wojtecki). — Henryk
Wereszycki: Anglja a Polska w latach 1860—1865.
Albert Gottlieb: Polen (Marjan Tyrowicz) 485

C E N A N U M E R U Z Ł. 2.—



12 M A J A 1935

wytycznymi Narodu. Z żywota Marszałka i z Jego słów Polska czerpie i czerpać będzie coraz świadomiej i szerzej bytu swego żywotne przykazania. A trzy z nich może najważniejsze.

Pierwsze — to hasło pracy, działania i odwagi działania.

Nie będzie już u nas zastoju — gnuśnego, czy pokrytego strzępami marności. Nie będzie niedołęstwa i fałszywego pracy mianowania. Kult jej rozciągniemy na wszystko, co żywe i celowe, na wszystko, co na prawdzie oparte i do urzeczywistnień zdrowych dąży. Formy — spoiste lub luźne, organizacją wyrażone lub na samotnym oparte dorobku. Treść przyziemne i najbardziej duchowe ogarnie poziomy. Rytm tylko zwiąże pracę polską w jedno: rytm ustawicznej, dodawanej, wzajemnie przekazywanej ciągłości.

Drugi zew — to wiara w Polskę: istotna wśród losów twardości kotwica. Marszałek uleczył Naród z choroby niewiary w siebie — samem swem pojawieniem się wśród nas. Tylko bowiem wielkie narody wydają w zwrotnych historii momentach wielkich ludzi. Wielkość Piłsudskiego, zwłaszcza Jego wielkość moralna, jest rękojmią mocy utajonych w Polsce. Dowodzi potężnych napięć duszy narodowej, dowodzi zwłaszcza wartości spoidel kulturalnych, tych owoców pracy pokoleń. Polska władna jest przypiąć synom swoim na drogę żywota nieskazitelne, ciągnące ku sobie, twórcze skrzydła. Jakżeż w Nią tedy nie wierzyć?

Trzecia wskazówka — to apel do zgody. Najwyżej chyba ze wszystkich cnót społecznych postawił Marszałek owo pojęcie. Lecz zgoda nie nakazuje bynajmniej triumfu gorszych ludzi — dlatego, że są liczniejsi. Nie nakazuje także oportunistycznych dostosowywań wzajemnych poglądów. Jakże ma zatem wykryształizowywać się w swej pożądaney postaci?

Istnieje oto miara wspólna dla całego życia publicznego. Nazwać ją można racją stanu. Zawiera zaś całość dążeń i potrzeb narodu, pojmowanego jako szereg idących po sobie pokoleń, a nie jako jedno żyjące pokolenie, tembardziej nie jako jedna ze społecznych warstw. Widzącem spojrzeniem odczytać można na owej skali decyzje właściwe, decyzje nadrzędne. A potem — stoczyć już tylko trzeba walkę z własnem sercem i stłumić podszepty małoduszności, zaślepienie egoizmu czy lęku. Jest to jedyna droga, by powołać do życia zgodę — w czystem, istotnem słowa tego znaczeniu, używanem przez Piłsudskiego.

Gotowi do czynów, wierzący w Polskę, zaczerpnijmy u trumny Marszałka siły, by zgodę taką między sobą budować. Niech Wielkiego Męża zastąpi zgodny zastęp — gromada, wielki człowiek.

Niech zgoda, tak pojęta, będzie mianem wspólnej naszej wielkości.

JAN STARZEWSKI

TADEUSZ SZPOTAŃSKI

NA SZLAKACH HISTORJI

O tem, co się stało, nie można nie pisać, jeśli słowo drukowane w Polsce nie ma stracić swej wagi — jednocześnie zaś nie można pisać w sposób swobodny. Na liryzowanie nie każdego stać, na spokojną analizę zawczasie. Wiemy tylko, iż stanęliśmy w historii naszej wobec zdarzenia o wielkich wymiarach, czujemy, że w Polsce wszystko się zmieniło, że śmierć w chwili zgonu Józefa Piłsudskiego nie ominęła żadnego domu naszego, żadnej rodziny. Chwila ta stała się wspólnem przeżyciem wszystkich i każdego z nas z osobna.

Historja się nie powtarza. Nie powtarza się, jak nie powtarzają się ludzie, którzy kładą na niej swe dłonie. Jeśli jednak pokolenie nasze posiada związek z przeszłością narodu, to wśród bicia pogrzebowych dzwonów, huku dział, wśród tłumów skrytych żałobą powinno było usłyszeć jakby dalekie echo wielkiego żalu i smutku, który już raz Polskę przed laty nawiedził.

Wiemy, jak przekazały nam tradycje i kroniki pamięć pierwszego Bolesława. „Z pana małej dzielnicy ojczystej, — mówi Szajnocha, — dobił się on całego państwa. Z władcy małego państwa przyszło mu natchnienie zostać wielkim mocarzem...“. Jakiemś niezwykle zjawiskiem wydaje się dziś postać potężnego jak żywioł i zarazem obdarzonego rozumem geniusza Chrobrego, który samotnie górował nad całym krajem, nad całą epoką, który, wiedziony intuicją i instynktem władzy, granice Polski wzdłuż Dniepru i Łaby wyznaczał, o Tatry i Bałtyk usiłował je oprzeć. Władca nieznanego i barbarzyńskiego jeszcze narodu przewyższył wszystkich współczesnych monarchów. Jako wódz nie miał sobie równego, jako polityk zaciążył na losach Czech i Rusi, cesarstwa i Węgier, w ogromnej pracy nad umocnieniem państwa sięgał wpływami swemi do Konstantynopola, do Anglii i Danji. „Lisem chytrym“ i „lwem ryczącym“ nazywa

go Thietmar. Koronę pod koniec swego życia, jako znak niezależności państwa, na głowę swą włożył, nie z niej więc, lecz z umysłu swego i serca siły potężne czerpał. W kraju rządy jego były jedynowładcze, przyczem z tą samą przebiegłością i bystrością, jaką w stosunkach zagranicznych okazywał, organizował naród i podwaliny życia społecznego zakładał. Dbając o rozszerzenie cywilizacji i o podniesienie poziomu kultury, jednocześnie żelazną ręką trzymał na wodzy indywidualne odruchy i wybryki, podobno osobiście, w sposób patryjarchalny, w łazni chłostę przestępcom wymierzał. A choć srogi był bardzo, śmierć jego spotkała Polskę jak nieszczęście. Gallus opowiada, że gdy umierającego króla pytano, jak długo ma trwać po nim żałoba, odpowiedział słusznie: „Nie naznaczam wam miesięcy ani lat, jako kresu boleści; lecz każdy, kto mnie znał i doświadczył mej łaski, pamiętając mnie długo, codziennie będzie mnie opłakiwał“. I opowiada dalej kronikarz, że dźwięk lutni w jęki, tańce w smutek, weselość w westchnienie się zamieniły. Przez cały rok w Polsce nie wyprawiano uctw publicznych, nie ubierano się w szaty odświętne, w gospodach nie było słyhać tańców i grania. „...nigdzie śpiewka dziewczyny, nigdzie nuta wesola nie zabrzmiała na drodze“. Wszyscy przez rok cały zachowywali żałobę.

Trudno dziś w perspektywie wieków odtworzyć rzeczywisty obraz, jaki kraj przygnębiony śmiercią króla przedstawiał. Bezwątpienia jednak z nastroju pozostawionej nam opowieści przemawia poczucie osieroceńia. Bezwątpienia poczucie to zapanowało nad Polską również obecnie, poczucie — bardzo rzadkie w dziejach narodów. I choć może kiedyś biografowie i historycy będą widzieli grę przypadku w podobieństwie pewnych cech i rysów charakteru dwóch wielkich ludzi, z których jeden państwo zbudował, drugi — odbudował, z których każdy stanął w zaraniu nowej historii życia państwowego narodu, to w każdym razie nie jest rzeczą przypadku podobieństwo ich roli, zbliżone znaczenie ich w dziejach, oraz jednakowy stosunek społeczeństwa do ich pamięci.

Jeśli się komuś to porównanie może dziwnem wydać, to dlatego, że w biegu zdarzeń, jako świadkowie szybko mijających wypadków, jako bezpośredni uczestnicy dokonywujących się zmian — nie jesteśmy w stanie zdać sobie sprawy z doniosłości pewnych chwil zwrotnych, nie możemy ocenić wielkości dziejowej okresu, w którym żyje obecne pokolenie. Niezależnie jednak od naszej wrażliwości, od naszego odczucia, które zresztą często staje i stanęło na poziomie całkowitej prawdy, fakty nam mówią, że odszedł od nas ktoś z chrobrych i wielkich.

Na szlaku historii naszej ostatnich dziesiątków lat każdy, kto stawał się żołnierzem sprawy polskiej, musiał spotkać się z Piłsudskim, musiał

się znaleźć w zasięgu jego myśli, jego pracy i czynów. Dla wielu spotkanie to miało zasadnicze, nieraz przełomowe znaczenie. Porywom nadawał Piłsudski kierunek, krystalizował świadomą celą wolę; koordynując indywidualne odruchy, wkładał w nie wartość realną. Rewolucjonista polski w spotkaniu z Nim przechodził z luźnej gromady wolontariuszy na określoną pozycję w toczącej się walce. Nie jeden tylko Raczyński, który w ucieczce w syberyjskiej tajdze z mrozu stracił obie ręce, dzięki Piłsudskiemu ginął bohatersko, zamiast ginąć powoli w ucieczce od nudy i życia w atmosferze kawiarni, w gorączce sztucznego podniecenia i nastrojów. Nie jeden, lecz jeden za drugim robotnik i chłop stawał się, płacąc swem życiem dręczonego niewolnika, człowiekiem wolnym i rycerzem wolności. Pod naciskiem woli, uczucia i logiki Piłsudskiego marzenia zbliżały się do rzeczywistości, nabierały tężyzny i praktycznego znaczenia. „... trzeba było, — mówił później o tych czasach, — aby co było szaleństwem stało się także i rozumem polskim“. To też pod Jego wodzą bunt przestawał być tylko protestem, lecz osiągał wagę czynu, dyktowanego przez rozum stanu. Pod Jego wpływem kierunki ideowe nabrzmiewały coraz bardziej jednolitą i zwartą treścią, a coraz liczniejsze jednostki i grupy przestawały być „marjonetkami dziejów“, zamieniając się w twórcze siły w dążeniu do wskrzeszenia państwa, przede wszystkim zawiązując skupienia i ośrodki, z których stopniowo wykwiatała zbrojna siła narodu. „...musimy walczyć, — nauczał. — I to nie na języki, nie zapomocą bibuły zadrukowanej, lecz z bronią w rękę“. „W ciężkich chwilach więziennych, — wspominał, — widziałem Polskę przygnębianą, zduszoną na wiele lat. Śnił mi się obraz siły, czynu zbrojnego. Projekt wydawał mi się samemu nad siły, jednak zacząć musiałem, bom ją w sobie nosił, wolną i w pełni chwały żyjącą“.

W pracy, którą podjął dla zrealizowania postawionego sobie celu, musiał przejść osobiście wielką drogę, która biegnie od układania artykułów i odezw w latach niewoli — do pozycji, jaką zajął w belwederskim pałacu; od instruowania bojowca, by mu ręka w chwili stanowczej nie zdrząła — do stanowiska Wodza Naczelnego i Pierwszego Marszałka; od włóczęgo po rosyjskich etapach więzienia — do tego wysokiego punktu, który przez nazwisko Piłsudskiego został oznaczony. W zjawisku tem mieści się odpowiedź na wszystkie próby określeń, definicji i porównań, które się czyni koło Jego postaci, a które w najmniejszym stopniu nie odpowiadają i nie mogą odpowiadać rzeczywistości. Nazywany romantykiem, okazał się najbardziej wytrawnym i realnym politykiem, gdy umiał w najtrudniejszych warunkach odszukać, zorganizować i używać stosownie do sytuacji nieziszczalne, jak się okazało, elementy czynu, zachowane w narodzie. Skupiając w sobie potęgę geniusza, wy dobył z życia polskiego

nowe siły duchowe, stworzył z nich oporę wartości moralnych społeczeństwa i uczynił ośrodkami dalszego rozwoju. Nietylko wywołał bohaterów, ale zapewnił im owocność ich ofiary. Stworzył armję, wyznaczając jej poziom i określając charakter ideowy. Zorganizował i przywrócił narodowi warsztaty pracy umysłowej i kulturalnej, dając im techniczne nowych czasów. „Dla obrony granic państwa społeczeństwo, — powtarzał nieraz, — winno dać przedewszystkiem to, co w języku wojennym nazywa się *morale*. Naród, który owej *morale* nie ma dość mocno wyrobionej, ma w każdej wojnie zgóry olbrzymie szanse przegranej“. „W wielkim chaosie i rozprzężeniu, które ogarnęło po wojnie całą środkową i wschodnią Europę, — zaznaczał, — chciałem właśnie z Polski uczynić ośrodek kultury...“. Uniwersytet wileński, sprowadzenie prochów Słowackiego na Wawel, Fundusz Kultury Narodowej — znaczą szlak usiłowań Piłsudskiego w tej dziedzinie.

W gruncie więc rzeczy stanowisko, jakie zajmował za życia w narodzie, było rzeczą naturalną. Można być niezadowolonym z porządków, które w domu panują, można czuć się w nim niewygodnie i być w niezgodzie ze wszystkim i ze wszystkimi. Nie można jednak nie czuć radości, że się po latach bezdomności ten dom posiadało, nie można nie czuć wdzięczności i przywiązania względem Tego, kto go z rumowisk podniósł i wroga od niego odpędził. Piłsudski, jako człowiek, na całym świecie i po wszystkie czasy będzie dumą rodzaju ludzkiego, będzie świadectwem niezmiernych możliwości rozwoju ludzkiego genjuszu; jako Polak — będzie wyrazem niepożytości i bogactwa polskiego ducha. Poza tem jednak w wewnętrznym naszym życiu był postacią bliską i swoją. Walka o niepodległość, odbudowa państwa polskiego i życie w tem państwie związały z Nim każdego, kto posiadał jakąkolwiek więź z życiem publicznym kraju. Był tym, kto młodość naszą kształtował, kto kładł kres nicości narodu i jego poniewierce, kto dał punkt oparcia dla walki z hańbą, kto zdobył znowu miejsce dla polskiego honoru i polskiej dumy. Był Tym, który nieustępliwie organizował nasze siły, by stoczyć walkę z najazdem, Tym, który wydarł wrogom zrabowane nam prawo wolności, który to prawo zabezpieczył i kazał je szanować. Nic więc dziwnego, że stał się wśród nas poza prawem pisanem i uchwałami, że nie sięgały Go przepisy regulujące nasze stosunki wewnętrzne. Od szeregu lat łączyło się z Nim wszystkie myśli o sprawach ogólnych. Rozmowa dwóch ludzi o rzeczach Polski stawała się rozmową o Piłsudskim. Był jak potężny filar, o który wsparło się istnienie i życie ojczyzny. Tworzył podstawę i gwarancję jej bytu. Więc śmierć Jego uderzyła w domy całej Polski. I gdy odchodził na Wawel, spełniał jeszcze jedno dzieło: porwania i zbliżenia narodu do swej wielkości.

HENRYK DOMIŃSKI

P I Ł S U D S K I

*Wykołysane szumem litewskiego dworu poszło serce na spotkanie sybirskiej
burzy.*

*Matka wierszami nauczyla ojczyznę stawić, białą dłonią podawała miecz.
Czerwono jak zorza na zamarzłych obszarach kwitł kraj, który z tamtych lat
się wynurzył,
w domu na wichry otwartym nie wiedziano jaką popłynię rzeką, na jakiej
stanie krze.*

*Panno Ostrobramska spływająca świętych dłoni modlitwą!
Panno otoczona błękitną koroną gwiazd,
ścieląca na utęsknione oczy poety
swój boski złocisty płaszcz —
pobłogostaw uliczkom krętym
wędrującym krzyżami do wzgórz zielonych.
Opasane Wilją błękitną
całowało brzegi Jej szat
Wilno*

*Nie było później nocy, czarna ściana runęła gruzami,
hukiem armat powstawał nieśmiertelny wschód.
Pożary kroili niebo krwawymi wstęgami,
porzucal żałobne całuny północny gród.*

*Zataczały się serca dzwonów, krew jeziorami stygła u ołtarzy.
Zapomniano o śmierci szemrzącą kołysanką kul spadającą na rzęsy
żołnierzom.*

*Gdy w ojczyźnie otwierał ogień i ziemię pod brwiami ważył
wiedziano, że tylko te oczy przed progami Jej leżą.*

*Pochylasz głowę gdy wspomnienia jak ptaki nagle obniżą lot.
 Miasto wielkie gwiazdami, światłami bije o kolumnami wsparty dom,
 a tu wiosna zielonym strumieniem otoczyła ceglasty płot
 aleją kwieciami i zmierzchem wystaną Litwa idzie naprzeciw snom.*

*Pod tarczą tego zmierzchu gasną stalowe oczy.
 W orderach i sztandarach Rzeczpospolita ruszyła pochodem,
 wieczór górąmi kiru pod biały dom się potoczył,
 księżyc jak srebrny orzeł opadł na czarną wodę.*

Ciszej...

*gdy serce nie bije nie plugawcie go grotami żalu
 Panno Ostrobramska Panno z wileńskich wzgórz
 w ogniu woskowych świec rozbłyśła w belwederskiej sali
 na wiecznych zniczach serce To złóż*

Biją żałośnie werble, padają stuleci głazy!

Ciszej...

na ostatni już szaniec zawitał

RZECZPOSPOLITO

WILAM HORZYCA

ŻYWA OBECNOŚĆ PIŁSUDSKIEGO

W bolesnych tych godzinach, które dziś przeżywamy w cieniu śmierci Wielkiego, górująca, choć może głęboko ukryta w nas jest świadomość, że tracimy — raczej nie! że utracić możemy ten skarb i cud, jakim jest to, co nazwaćby można żywą obecnością Piłsudskiego. Ta obecność — to coś innego, niż wieczysta historyczna przytomność Wielkiego Budowniczego w całym przyszłym życiu narodu, państwa, świata. Wiemy przecież: dzieło Jego żyć będzie przez wieki. Wiemy: czyny Jego trwać będą przez pokolenia. Ale stać się może, — bo takie jest ciężenie fatalnej siły dziejów, — że poza potężnymi konturami tych właśnie wiekopomnych dzieł, zbudowanych w męce i cierpieniu, poza spiżowym kształtem tworu dziejowego, który urodził się tam kiedyś z strasznego wysiłku ducha, ukryje się właśnie ów żywy człowiek, ów żywy duch, będący przecież sprawcą tego wszystkiego, co teraz spoczywa chłodne i niezachwiane, a kiedyś było lawą i twórczą niepewnością. Tak to wielkie dzieło przysłania często żywą obecność jego twórcy, jakgdyby był on nie istotą ludzką, ale jakąś siłą natury, bezosobową i bezimienną. I przeciw temu bezosobowemu widzeniu osobowości dziejowej instynkt zakłada protest, dalej mierząc, niż nawet dzieło samo, a sięgając ku owej żywej obecności, mającej moc rodzenia wszystkiego i kształtowania wszystkiego z tworzywa cierpienia i płomienia.

Stałoby się więc coś nieodżałowanego, gdybyśmy, oddzieliwszy dzieło Piłsudskiego od Jego utrudzonego i natchnionego żywota, z którego był tu na ziemi prawdziwy „poemat dla Boga“, przyzwolili na wyrzeczenie się Jego żywej obecności. Bo dzieło Jego mocne jest nas utrzymać w twardej świecie zmagania, ale tylko obecność Jego wspaniałego człowieczeństwa, w którym bez reszty przecież mieści się i dzieło Piłsudskiego, posiada

moc wychowawczą, kształtującą dusze ludzkie na podobieństwo tej duszy i tego życia, nad które na przestrzeni wieków nie masz większego ni świetniejszego. Oto dlaczego nie tylko pamięć czynów Komendanta, nie tylko zapamiętałe prowadzenie dalej Jego prac jest nieodzownie potrzebne, ale także, a może przede wszystkim, nieustające obcowanie z Jego żywą obecnością, z Jego cudownym, nieporównanym, przebogatym człowieczeństwem, bez czego łatwo możnaby zapomnieć, czym były i są dzieło i twórczość Józefa Piłsudskiego.

Dzień dzisiejszy ma skłonność do ujmowania wszystkiego w proste i surowe linie, obce wszelkiej miękkości i półtonom. Życie dnia dzisiejszego, publiczne i prywatne, posługiwać się poczyną pojęciem jakiejś straszliwej celowości, w której obliczu milknąć musi głos ludzkiego serca. Wydawałoby się czasem mogło, że nie w skłóconej, wyczerpanej Europie żyjemy, ale w Sparcie nowoczesnej, w jakiejś starorzymskiej Rzeczypospolitej, w wiek dzisiejszy przerzuconej, tak twardymi mówimy słowami. Lecz jeśli ktoś wśród współczesnych miał prawo rzymskie czuć w sobie serce, jeśli w kim żyła starożytna *virtus* żołnierska i obywatelska, to właśnie w Józefie Piłsudskim. A jednak równocześnie nikt nie był dalszy temu, by w imię heroicznej surowości miażdżyć wszystko, co tą miarą być mierzone nie może, jak właśnie On — Józef Piłsudski. On, sprawca dziejów, budujący twory historyczne o wiekowych perspektywach, miał rozumiejące i łaskawe spojrzenie i dla tego, co jest tylko chwilą, tylko wzruszeniem, tylko jednym skurczem serca. To, co drobne i łatwo przemijające, nie było dla Niego drobnem i przemijającym, bo chociaż posłannictwem Jego nadludzkiego żywota było budowanie potężnych kształtów dziejowych, znał On wagę i doniosłość spraw arcyłudzkich, jakoby niehistorycznych, a jednak historję tworzących, wielokrotnie o niej rozstrzygających. Dlatego tak dziwnie brzmiała odpowiedź, dana Zgromadzeniu Narodowemu po wyborze Jego na Prezydenta Rzeczypospolitej, odpowiedź, która nie znaczyła bynajmniej, że sprawy publiczne chce On mierzyć miarą uczuć czysto osobistych, ale że o historycznej wartości i zdolności narodu rozstrzyga to, czym jest on w swej codzienności, w swem najbardziej osobistym istnieniu; jeśli bowiem tu, w powszednim życiu Polaków, rządzić będzie niczemność i zło, historja narodu nie będzie niczem innem, jak złem i upodleniem.

Polska dla Piłsudskiego, to nie tylko wielki warsztat pracy dziejowej; to przede wszystkim najwewnętrzniejsza, najosobistsza sprawa zarówno Jego samego, jak i każdego Polaka. I w obliczu spodziewanej śmierci, w przededniu Bezdan, w liście, który jest jednym z najstraszliwszych, ale jeszcze przez nas nie odcyfrowanych dokumentów w historii polskiej —

to tylko stwierdza, nic innego. I jeśli by po Józefie Piłsudskim nie pozostało nic więcej, tylko te dwa listy, o których mowa, wystarczyłyby one same, by objawić niesłychaną głębię tego człowieka, który dla mających „oczy ku patrzeniu“ w tych dwóch niepozornych listach zostawił najpełniejszy testament swego potężnego ducha, sam odsłaniając się w nich najpełniej i najwspanialej.

Z pewnością życie będzie usiłowało zmarmurzyć Komendanta, ustawić go na pomnikowym cokole, aby nie chodził wśród żywych, aby przeszły „w historii okłasku“, zaczął tronować w pustce uwielbienia. Takie jednak rozstanie się z żywą obecnością Piłsudskiego byłoby zaparciem się Jego trudu, Jego prawdy, Jego myśli i nie może być większego grzechu przeciwko duchowi Jego, jak ukazanie Jego postaci w chłodnym kształcie pomnika. Trzeba — i to jest nakazem naszego sumienia — zachować Go w naszej pamięci i w życiu naszym zawsze takim, jakim był, gdy bawił jeszcze pośród nas: surowym i twardym, a zarazem czującym i delikatnym. W nikogo też nie wcieliło się tak doskonale słowo francuskiego poety o „synu królewskim“, jak w Józefa Piłsudskiego. Prometeiczny charakter, zdolny do najtragiczniejszych wysiłków woli, wraz z umysłem o jasnowidzącej wnikliwości i subtelności, w połączeniu z uczuciowością prawdziwego poety, tworzącego w natchnieniach, które nigdy jednak nie stały w sprzeczności z surowym zmysłem rzeczywistości — oto najpełniejsza synteza człowieczeństwa, na jaką stać było naród polski na przestrzeni wieków. Wszystko, co było najlepszego, związało się w tej duszy w jedną przebogatą całość, i fałszuje prawdę serca Piłsudskiego ten, kto tylko jedno w Nim dostrzega, drugiego nie widząc, usuwając je w cień. Kto pamiętać chce, że był to Człowiek wielkiego czynu żołnierskiego i tragicznych postanowień z tem związanych, ten zapominać nie powinien, że był On również wielkim marzycielem i wielbicielem poezji, a nikt inny, tylko On, żołnierz, wprowadził prochy swego umiłowanego Słowackiego na Wawel. Kto widzi w Piłsudskim żyjącego zdala od tłumu samotnika z Belwederu, ten musi w Nim zobaczyć również i tego, który znał wysoką cenę humoru, umiał wywoływać uśmiech na ludzkich twarzach i darzyć swoim uśmiechem choćby owe dzieci, które nie tak dawno jeszcze zbierały się w Parku Ujazdowskim dokoła siwego pana, zawsze mającego cukierki w kieszeni. Kto czci Go jako płomiennego patrjotę, ten pamiętać też musi, iż może najbardziej gorzkie słowa, jakie kiedykolwiek Polsce w twarz rzucono, rzucił je właśnie On, Wielki Polski Budowniczy — choćby w owym liście z przed bezdańskiej potrzeby. Wszystko bowiem, co ludzkie, mieściło się w tej nieogarnionej duszy, w tem najpełniejszym, najbogatszym, najwspanialszym człowieczeństwie, któremu na imię: Józef Piłsudski.

Żywa obecność tej potężnej osobowości, ciągle z nią przestawanie, nieustanne mierzenie swego życia miarą Wielkiego — to konieczność, to nieodzowny warunek i podstawa rozwoju Polski i Polaków. Odziedziczywszy dzieło Piłsudskiego bez testamentu Jego duchowości, łatwo moglibyśmy dzieło to zmarnować. Jedynie żyjąc w promieniu Jego żywej obecności człowieczej, jedynie budując prawdę duszy Komendanta w naszych własnych duszach, podolać możemy Jego wielkiemu dziedzictwu. A podolać musimy.

KAZIMIERZ KOSIŃSKI

WIZJA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Przebrzmiały echa ostatnie pogrzebu Józefa Piłsudskiego.

Uciszyły się rozkołysane dzwony, które brzmiały nad Polską i zmiłły, jak człowiek bolejący, który zamilka, gdy mu zabraknie słów dla wypowiedzenia bólu.

Przesunęły się przed oczyma duszy obrazy niezapomniane, do których naród wróci, jak do ożywczej krynicy wspomnień o głębokim bólu i wielkości.

Mimowoli ciśnie się na usta litanja imion, którą pragnęlibyśmy uczcić Go w narodzie, gdy słowo każde pozostaje bezsilne wobec śmierci.

Cóż dopiero mówić o śmierci człowieka, w którym naród ujrzał się cały w jestestwie swoim i został po nim w głuchej żałobie!

Stajemy wtedy wobec zagadnień, które szukają dla siebie wyrazu w pełni doznanych uczuć.

*

Pisał swojego czasu Stanisław Witkiewicz w monografii o Matejce, że wielki twórca mylił się, doznając jednostronnej wizji Polski niepodległej z minioną wielkością narodu. Dowodził Witkiewicz, że narodu nie stanowią ani jedno ani dwa pokolenia, tylko ich niezliczone szeregi i przyszłość polską „może jeszcze ukazać zdumionemu światu Polaków nie gorszych od tych, których malował Matejko, zdolnych wziąć znowu na swoje barki ciężar historii i odpowiedzialność za własne losy“. Jakoż istotnie, wielkość narodu nie da się ograniczyć do czasu przeszłego i byliśmy świadkami, jak Polska po odzyskaniu niepodległości nawiązała bezpośrednio kontakt z dawną swoją wielkością dziejową. I oto w rezultacie do owych trumien wawelskich, przed którymi korzył się, jak przed wielkością umarłą,

skończoną Matejko — przybyła już nowa, którą tam zaniósła Polska odrodzona, na stwierdzenie prawdy, że niema przerw w wielkości narodu, że mogą się zjawiać jego ludzie wielcy w każdej epoce dziejów.

Jednostronność wizji Matejki można wytłumaczyć łatwo ówczesnem położeniem politycznem Polski, które dawało odpowiednie nastawienie uczuć w kierunku kontemplacji przeszłości; ta świeciła gwiazdami imion wielkich wśród czarnej nocy niewoli. Była w tem jednak głęboka prawda psychologiczna, że wielkość minionych epok skupia się w szeregu faktów dziejowych i ludzi, których wizję potężną w duszy miał wielki twórca. Daną epokę dziejów oglądamy zawsze oczyma duszy poprzez ludzi wielkich. Jakoż i twórczość Matejki dawała narodowi wizję jego przeszłości, w której widzimy królów i mężów stanu w momentach ważkich historii.

Z drugiej jednakże strony — musiała się ta przeszłość w sztuce plastycznej Matejki przejawiać zapomocą cech zewnętrznych, archeologicznych; jakoż ta archeologia przeszłości jawiła się wizją w duszach, aż doszło do tego, że zaczęto ją utożsamiać z jej istotą dziejową. Słowem, zaczęto ją pojmować emblematycznie i znamiona zewnętrzne przeszłości nabrały dla narodu treści uczuciowej, co przejawiało się w szeregu rocznic, na które wydobywano z lamusa dawne stroje szlacheckie, pasy słuckie i karabele, nie widząc całej śmieszności tej patryjotycznej maskarady. Zresztą, jeżeli o co idzie, to archeologiczną wizję przeszłości miał już Krasieński w *Przedświcie*. Widzi tam poeta emmentarz przeszłości polskiej, jak

...zimowy step ten głuchy,
Gdzie śpią w grobach ojców duchy...

I nagle, pod siłą wzroku duszy, ów emmentarz się ożywia i daje wizję Polski dawnej; widzi tu poeta przedewszystkiem wymienioną archeologję polską: szyszaki rycerskie, korony królewskie, kołpaki, przyłbice i zbroje, szable, miecze, buzdygany, buławy hetmańskie, i t. p. Kiedy w następnym obrazie widzi Krasieński pochód tej przeszłości umarłej do nowej epoki dziejów, znowu dostrzega przedewszystkiem te same korony, buńczuki, sztandary, śnieżne pióra, „katolicki krzyż wzniesiony“, herby, tarcze, tłum szabel i Matkę Boską Częstochowską na przedzie, jakby wyjętą z ryngrafu. Mamy tu wyraźną i typową wizję, jak idą

W dawnych polskich bitew stroju,
Przebóstwieni — rozłóceni
Przesuwają się w przestrzeni,
Jakby znowu szli do boju!
Srebrne skrzydła, w zbroję wtknięte,
Im z nad ramion w górę lecą,
Jak anielskie skrzydła świecą;

Turkusami zbroje spięte,
 Z żywej stali rękawice,
 Strusie pióra wyżej głowy
 I dobyte do połowy
 Damasceńskie ich szablice...

Tak więc umarła przeszłość stawiała tu przed oczyma nie w swojej treści dziejowej, ale w swych szatach, które pomagały oczom do widzenia, do wizji plastycznej ale czysto malarskiej. W rezultacie, zwłaszcza od czasów Matejki, naród począł po malarsku oglądać przeszłość, zapominając o tem, że Matejko dawał ponadto głęboką tragedję dusz, której nie umiano się niejednokrotnie dopatrzeć, o czem świadczy chociażby polemika z powodu Rejtana.

Pomnikiem bezpośrednim tej przeszłości umarłej był dla narodu Wawel. Tam pogłębiało się jeszcze znaczenie archeologii narodowej. Przemawiała tam przeszłość bezpośrednio obecnością grobów wybitnych mężów stanu z epoki złotej dziejów i późniejszych, grobami królów i biskupów. Z tablic grobowych przemawiała przeszłość urokiem i majestatem łaciny, widniała spiżowemi postaciami w infułach i zbrojach, w sarkofagach królewskich można się było domyślać insygnjów grobowych. Słowem, mówiło tu wszystko śmiercią i jawiło się wizją w duszy, ukochaną w dobie upadku, a jednocześnie ogromnie smutną, który to smutek przemówił też bezpośrednio w sztuce Matejki. Stało się też, że kiedy na Wawelu złożono prochy Mickiewicza, to i poeta nabrał dla współczesnych wawelskiej treści trumiennej i złączył się w wyobraźni i uczuciach narodu z całą tą przeszłością umarłą i archeologiczną wawelską, aż musiał go Wyspiański w *Wyzwoleniu*, nie Mickiewicza, ale to jego wawelskie widmo zegnać z narodowej sceny. Z drugiej strony, jak mówiłem — dana epoka dziejowa uwidacznia się w duszach poprzez ludzi wielkich na tle odnośnych zdarzeń, które stają się legendą w duszy narodu.

W ten sposób doszliśmy do zagadnienia. Tak niedawno przebrzmiały dzwony pogrzebowe Józefa Piłsudskiego, tak niedawno złożono Go na Wawelu i zachodzi teraz obawa, aby nie nabrał treści widmowej, trumiennej, wawelskiej, *aby nie stał się wizją grobową*, któraby nam odebrała wiarę w możliwość dalszej wielkości polskiej i ewolucji ducha polskiego. Zachodzi obawa, aby ten wielki człowiek naszej współczesności dziejowej, w wyobrażeniu o Nim narodu, po złożeniu Jego zwłok na Wawelu, nie zespolił się z archeologją przeszłości i nie stał się sam emblematem, który jak stygmat omartwiałby dusze.

Kiedy Józef Piłsudski umarł, przeszła nad Polską potężna Jego wizja Króla - Ducha. Widzieli Go oczyma duszy wszyscy, skupieni w sobie i cisi, jak zaległ chmurą nad tłumami. W mowach o Nim ludzi, w artykułach w prasie jawił się nieustannie, jako Król - Duch, który opuścił swój naród. Samo pojęcie Króla - Ducha zawdzięczamy Słowackiemu, którego poemat jest najmniej może czytany. Ideologia poematu zapadła jednak w duszę narodu, który wierzy w jednostkową moc geniuszu i jego misję w historii. Stało się tak w epoce porozbiorowej, gdy wielkie postacie twórców odegrały potężną rolę dziejową w historii duszy polskiej. Przez Króla - Ducha rozumie naród jednostkę wielką, która mu służy i posiada rząd nad duszami. Kiedy Król - Duch do wieczności przechodzi, żegnamy Go z żalem i bliscy jesteśmy wiary w metempsychozę ducha, który wraca w następnych swoich wcieleniach. Zrazu Król-Duch odchodzi z mocą i oślepia dusze wielkością w osieroceniu narodu. I taką wizją Króla - Ducha przesunął się niedawno przed całą Polską Józef Piłsudski.

Dalej. Kiedy Józef Piłsudski umarł, rozległo się nad nim echo pozgonne, począwszy od orędzia Prezydenta Rzeczypospolitej, poprzez kazanie pogrzebowe ks. biskupa Gawliny, mowę Prezydenta nad Jego trumną na Wawelu, liczne artykuły w prasie, komunikaty radiowe, film, rozkazy do wojska etc. Echo pozgonne Józefa Piłsudskiego przekroczyło granice Polski i odezwało się głośno w całej Europie, w parlamentach, w zagranicznej prasie i w Lidze Narodów. Wizja tego człowieka obiegła świat i wywołała wszędzie zgodny chór uwielbienia dla Jego potęgi ducha i mocy charakteru, w uznaniu zasług dla pokoju. Widziano w Nim obraz pełni człowieka poza bohaterem ściśle narodowym. Nie było dotychczas wypadku w dziejach, aby który Polak wielki stanowił tak uznaną i docenioną w Europie pozycję moralną. Polska sama uczuła się w tym fakcie śmierci Wodza wydzwigniętą na szczyty i przekonała się, jak daleko już zaszła, idąc za Nim. Pogłębiało to Jego wizję Króla-Ducha, lecz, z drugiej strony, potęgowało żal i wzmagало niepokój o dalsze losy państwa. Wizja pozgonna Piłsudskiego stała się więc czynnikiem konsolidacji narodu, wzmacniała jego spójnię wewnętrzną i gruntowała więźbę dusz. Pogłębiała też poczucie odpowiedzialności za własny los i własną dolę. Wszystkie te elementy dźwięczą od samego początku w echu Jego pozgonnem, które nie przebrzmiało dotychczas. I tak: we wspomnianem już *Orędziu* Prezydenta Rzeczypospolitej, które podało narodowi wieść, że „Marszałek Józef Piłsudski życie zakończył“, widzimy błysk syntetycznej wizyjnej myśli, która jednostkę wielką umie wyrazić w kilku słowach: „Ten największy na przestrzeni całej naszej historii Człowiek z głębi dziejów minionych moc swego ducha czerpał, nadludzkim wyężeniem myśli drogi przyszłe odgadywał“. W tej minimalnej ilości wyrazów zamknięty jest cały Józef Piłsudski — z swoją wiel-

kością ducha, ze stosunkiem do przeszłości polskiej i potężnym rzutem myśli w przyszłość. Naród ma tu wypełnić Jego testament i nie uronić niczego z przekazanego sobie dziedzictwa Jego myśli. Toż samo w przemówieniu Prezydenta nad Jego trumną w Krakowie, doznajemy syntetycznej wizji Genjuszu, wizji, zawartej znów w minimalnej ilości wyrazów. Mówił tu Prezydent Rzeczypospolitej tak: „Cieniom królewskim przybył towarzysz wiecznego snu. Skroni Jego nie okala korona, a dłoń nie dzierży berła, a królem był serce i władca woli naszej. Półwiekowym trudem swego życia brał we władanie serce po sercu, duszę po duszy, aż pod purpurę królestwa swego Ducha zagarnął niepodzielną całą Polskę“. A to jest właśnie Król-Duch, który posiadał rząd dusz w narodzie. Poza tem wszystko inne w mowie jest uświadomieniem sobie nowego stanu rzeczy i obowiązków narodu. „U bram domostw naszych postawmy warty, byśmy bezcennego kruszcu cnót przez Niego pozostawionych nie uszczuplili, niczego z wielkiego po Nim dziedzictwa nie uronili i byśmy Duchowi Jego, troską za życia o losy Polski umęczonemu, spokój w wieczności dali“.

Jego królewskość z ducha przejawiała się przedewszystkiem atoli w kazaniu pogrzebowem ks. Gawliny, które sięgnęło szczytów naszej wymowy kaznodziejskiej, gdzie można je umieścić obok pogrzebowych kazań Skargi, Samuela Maciejowskiego, Fabjana Birkowskiego i Woronicza. Mamy tu zaraz na wstępie wizyjną, syntetyczną, w kilku wyrazach zawartą, charakterystykę bohatera: „Idzie na odpoczynek wieczny, na adorację wieczną Wielki Wódz i Wielki Samotnik“. Za Jego trumną zdąża majestat Polski i „miłość Matki Kościoła“. Dalej mówca przesuwając przed nami obraz zbolelej Polski, pogrążonej w żalobie: „Odzywa się z góry Lecha dzwon Wojciech szpizowem sercem swoim. Jęczy i płacze na Wawelu Zygmunt i razem z nim rozdzwoniły się i zagrały żalosną melodją dzwony we wszystkich świątyniach polskich. Grają na Polskę całą uroczyste *Requiem*, a wołają imię, pamięć, myśli i czyny Zmarłego, który stanął dziś przed ołtarzem Katedry św. Jana, aby po raz ostatni zaszalutować przed Panem życia i śmierci“. Dalej wy dobył mówca linję historyczną Jego żywota, aż doszedł do właściwego zagadnienia misji, która to misja stanowi, jak wiemy, podstawę ideologii Króla Ducha. To zagadnienie misji geniuszu w narodzie stanowi też podstawę mistyczno - religijną kultu polskiego dla ludzi wielkich. Mówił tu ks. biskup Gawlina tak: „I stała się nad Nim ręka Pańska i upodobał Go sobie Bóg i naznaczył czoło Jego stygmatem wielkości i kazał Mu spełnić posłannictwo w narodzie naszym“. A to jest właśnie idea Króla - Ducha, która, jak wieniec z lauru, owinęła się około Jego trumny...

Tę samą królewskość z ducha Józefa Piłsudskiego podkreślił rozkaz gen. Rydza - Śmigłego do koła 1 p.p. Legjonów, gdzie obecny Generalny Inspektor

Armji stwierdził, że „niema takiej trumny, któraby miała moc uwieźć Jego Królewskiego Ducha. Ten Duch zostaje między nami“, bezkompromisowy i wielki, choć „przeznaczenie narodu polskiego przegrało bitwę ze śmiercią i życiem Komendanta“.

Pomijamy tu całą mnogość artykułów w prasie, niekiedy szczerych, niekiedy pełnych frazeologii, gdyż niepodobna ich na tem miejscu omawiać, ale była w tem wszystkim wizja Króla - Ducha, który przesunął się przed narodem. Tę Jego królewskość z ducha widzieli natenczas wszyscy. W imię tej królewskości z ducha złożono Go na Wawelu, jako wartość żywą i nieśmiertelną, która nie może stać się wartością trumienną, sarkofagową, nieżywą, świętą, w imię której zabijałby naród następnych wodzów, następnych Królów - Duchów i rzucał im kamienie pod nogi i odmawiał im zasług i pomniejszał ich przed narodem i zdierał z nich chwałę, jak to czyniono z Józefem Piłsudskim, w odróżnieniu Go od innych wielkich, którzy byli, którzy walczyli, którzy odeszli, tak samo utracani za życia.

*

Ale Marszałek Józef Piłsudski miał również własną wizję wielostronną narodu i człowieka. Jego wizyjność przejawiała się bezpośrednio w stylu Jego przemówień i pism. Piłsudski myślał obrazami, które rzucał na ekran dusz. Dopóki dany obraz stał Mu przed oczyma, nasilał go wyrazami, co na zewnątrz czyniło wrażenie powtarzania myśli w tych samych często wyrazach i zwrotach. Teraz, kiedy Go brakło mówiącego i piszącego, Jego język staje się sam wizją: czytając Jego pisma, oglądamy Jego samego w charakterystycznym stylu i języku, które wymagają osobnego studjum.

Ponadto Piłsudski *widział* i tem swoim *widzeniem* sięgał do samej głębi duszy polskiej i ludzkiej. Widział oczyma wspomnień dzieciństwo i matkę na tle atmosfery postyczniowej, widział od zarania niedolę społeczną w Polsce, widział niepodległość Polski, do której szedł w przeczuciu. Widział pojednanie narodu i widział potęgę przyszłą Polski. Widział potem rozdarcie, nad którym po odzyskaniu państwa płakał „gorzkiemi łzami“, jak mówił, na myśl, „że pierwsze dni wolności Polski wyglądać mogą jak potwierdzenie przez Polaków samych aktów niewoli i przemocy wrogów, potwierdzenie podziału Polski. Widział dysproporcję wewnętrzne sił narodu, jego zachłanność w utracaniu zasług i zawiść w stosunku do wielkości czynów. Widział wartość bojową żołnierza Legionów, widział potęgę i znaczenie zwycięstw i widział małość, która je pomniejszała. Widział Boga, tworzącego światy, kiedy nad dziełem swem się trudził, widział Go, jak człowieka - twórcę, doznającego chwil zmęczenia. Widział misję człowieka, która jest skutkiem wyroków boskich, skazujących ludzi „na mozół i trud wielki, by z ubogiej gleby, jak ta sosna,

życie wydobywali, by byli w trwałości pracy niezmienni, jak zieleń wieczna koron drzewnych, a na straż swej ziemi wysyłali silnych, co w burzy się nie zęgną“. Widział burzę dziejową „gdy palec Boży ziemi dotyka“ i widział wyścig pracy ludzkości. Widział siebie i swoją rolę dziejową, widział swoją linię wodza od pierwszych bojów do przeglądu wojsk w Warszawie, co było dlań bajką rzeczywistości polskiej, widział państwo, w którym nie może być za dużo nieprawości, widział naród, jak pełzał do jego zasług, i widział nieodłączny cień, który szedł za Nim wszędzie, to Go wyprzedzał, to zostawał w tyle.

„Cieniów takich było mnóstwo, cienie te otaczały mnie zawsze, cienie nieodstępne, chodzące krok w krok, śledzące mnie i przedrzeźniające. Czy na polu bitew, czy w spokojnej pracy w Belwederze, czy w pieszczotach dziecka — cień ten nieodstępny koło mnie ścigał mnie i prześladował. Zapluty, potworny karzeł na krzywych nóżkach, wypluwający swoją brudną duszę, opluwający mnie zewsząd, nie szczędzący niczego, co szczędzić trzeba — rodziny, stosunków, bliskich mi ludzi, śledzący moje kroki, robiący małe grymasy, przekształcający każdą myśl odwrotnie — ten potworny karzeł pełzał za mną, jak nieodłączny druh, ubrany w chorągiewki różnych typów i kolorów — to obcego, to swego państwa, krzyczący frazesy, wykrzywiający potworną gębę, wymyślający jakieś niesłychane historie, ten karzeł był moim nieodstępnym druham, nieodstępnym towarzyszem doli i niedoli, szczęścia i nieszczęścia, zwycięstwa i klęski...“. Mamy tu, jak widzimy, obraz stosunku doń społeczeństwa, przynajmniej tej jego części, którą spodliła niewola. Ci oskarżali Go, reprezentanta narodu, naczelnika państwa... o kradzież, czy też ukrycie znalezionych rzekomo przezeń insygnjów polskich koronnych: „Zbiera się komisja sejmowa, aby szukać skradzionych przez tego reprezentanta insygnjów królewskich. Komisja sejmowa, obradująca pod egidą czy pod kierownictwem marszałka sejmu, szuka, śledzi, bada, poszukuje skradzionych przez tego reprezentanta rzeczy“ — widział to wszystko i nazywał potwornem, wstrętnem i oplutem! Ta Jego wizja Cienia była niczem innem, jak wizją plotki polskiej, która pełzała Mu u nóg od początku do końca. Widział ją nieustannie oczyma duszy i od jej widoku uwolniła Go dopiero śmierć.

Dokonało się w dziejach Polski odrodzonej, że Józef Piłsudski umarł. Śmierć jego dla narodu była gromem i duch narodu stęzał w skupieniu i modlitwie. Stało się, że tym razem cień wizyjny nie odprowadzał Go do grobu w krypcie św. Leonarda. Ale też w tem miejscu nabiera właściwego znaczenia troska, aby Mu ów cień wizyjny nie nadał z czasem treści trumiennej, uświęcając Go sobą, własną małością ducha i czyniąc Go wartością martwą, która odeszła od życia.

Tak niedawno widzieliśmy Jego wizję Króla - Ducha. Stało się, że Jego królewskość z ducha wyszła i stanęła przed narodem widzialna. Naród po-

chylił przed nią czoło i odprowadził Go cichy na Wawel, przydając Mu insygnia królewskie duchem.

Był Józef Piłsudski, jak Mickiewicz, syntezą swojego czasu, był wyrazicielem swojej współczesności dziejowej najmocniejszym i bezpośrednim. Duchem swoim obejmował naród we wszystkich jego pokoleniach i jako taki nie da się zamknąć w trumnie. Brońmy Go przed wyobrażeniem o Nim narodu, jak o królewskim prochu. Szukajmy Go w Jego pismach i historii, niech będzie obecny między nami. Nie róbnmy dlań urzędowo kultu, bo gdy to zrobia miernoty, pomniejszą Jego pamięć w narodzie. Nie zaślaniajmy się Jego myślą wtedy, gdy przyjdzie nam samym czynić, bo każdy moment dziejów domaga się własnych decyzji i własnej odpowiedzialności.

Usłyszymy Go w rozgwarze wewnętrznym uczuć, zobaczymy Go w pozycji, niech mówi o Nim praca pokoleń, niech Go dośpiewa w sercach rytm wewnętrzny mocnego, pulsującego potężnie polskiego życia.

Złożyliśmy Jego zwłoki w relikwiarzu narodu, ale tamten z Wawelu już nie żyje: ma dla nas potęgę wspomnień i siłę ukochania. W cytowanej na początku monografii o Matejce pisał Witkiewicz: „Przeszłość pozostanie wielkich ludzi prochem. Ale w tych prochach, w tem obcowaniu ze wspomnieniem tkwi dla dusz ludzkich moc ożywcza, tkwi potęga suggestyjna, siła fatalna, z pod uroku której nie można się uwolnić. Każdy wielki czyn w przeszłości, każde imię, związane z wielkim porywem narodu, bez względu na to, czy jest historją czy legendą, ma tę siłę promieniowania energii z pokolenia na pokolenie“.

Wielki człowiek zostawia swoją wizję w narodzie, ale ten człowiek wielki posiadał również własną wizję narodu. Musiało się tak stać po odjemnym do Niego stosunku mas. Wizja Jego pozgonna musi przestępcznie ten stosunek i przekuć go na hart duszy polskiej, która nie załamie się w stosunku do zasługi innych, która ich nie pomniejszy i nie będzie dla nich cieniem.

Jego wizja pozgonna poda się cała legendzie, a ta przekaże Go wiekom. Pomiędzy jedną i drugą niech będzie mostem poznanie Jego pism i wyrozumienie wielkości. Strzeżmy, aby doń nie podpełzła zapluta plotka polska, która równa wielkich z małymi, piękno z brzydotą i myśl z głupotą. Nie przegadajmy Go, myślmy o Nim i sami wróćmy do życia, bo On to życie, które jest poza śmiercią, które jest w nas. Życie ma w sobie wszystkie możliwości rozwoju, a to jest właśnie On, ten drugi, nieśmiertelny.

ANTONI ANUSZ

W Y M O W A Ś M I E R C I

Zgon Marszałka Józefa Piłsudskiego jest tym wielkim wstrząsem w życiu narodu, który wydobył na wierzch ukryte w głębiach siły moralne i uświadomił nam nieznaną treść duchową masy narodowej. Do tego „serca zarytego głęboko, gdzieś pod czwartą głębłą skibą, — jak pisze Wyspiański, — że swego serca nie dostać“, do tego serca powszechności narodowej sięgnął Józef Piłsudski przez swoją śmierć.

Postawa duchowa masy narodu wobec śmierci Twórcy niepodległości państwowej jest zaprawdę wzruszająca, jest dla każdego, kto „ma serce i patrzy w serce“, źródłem otuchy i wiary w wielką misję dziejową Polski, która posiada tak patryjotycznie czujące masy obywateli.

Współczesna rzeczywistość nasza jest bezsprzecznie ciężka, nie można zalecać płytkiego, powierzchownego, zdawkowego optymizmu w ocenie tego, co stanowi dolę przeciętnego obywatela naszego państwa. I dlatego też imponująca jest ta mądrość mas ludowych, które umiały wyodrębnić z rzeczywistości polskiej wszystko dodatnie, co jest zasługą Józefa Piłsudskiego, od tych objawów ujemnych, które nasze życie państwowe cechują z winy nas, piłsudczyków, którzy nie wykazujemy dostatecznej obowiązkowości, pilności i gorliwości w pracy publicznej. Masy nie mogą wymagać od nas, piłsudczyków, geniuszu, talentów i zdolności, właściwych indywidualności Józefa Piłsudskiego, lecz mają prawo żądać od nas powagi moralnej, uczciwości i solidności, mają prawo żądać, abyśmy sprawowanie władzy w państwie pojmowali jako trud i odpowiedzialność, a nie jako sposobność do mniej lub bardziej godziwych uciech życiowych. Niezwykle silne wzruszenie i głębokie przejęcie się mas ludowych śmiercią Marszałka Piłsudskiego odsłania przed nami istotę tego tajemniczego związku duchowego, jaki istniał pomiędzy Nim a ogółem, związku, który dla Niego samego był w pewnej mierze tajemnicą.

Miałem wrażenie, że Józef Piłsudski szukał podniet i wskazań dla swej działalności w nakazach przeszłości historycznej, w przejęciu się duchem dziejów narodu, a nie w odczuciu współczesności i tego, czym żył przeciętny człowiek naszego pokolenia. Przypomina mi się Jego znamienne powiedzenie: „A może mi się uda stworzyć Wielką Polskę, jeżeli potrafię oszukać Polaków“. Dzisiaj, w obliczu napięcia żałoby narodowej, jasnym jest, że Józef Piłsudski nie potrzebował oszukiwać ogółu Polaków przy tworzeniu Wielkiej Polski, lecz musiał oszukiwać politykujących Polaków, musiał ignorować tych menerów politycznych, którzy stali pomiędzy Nim a społeczeństwem, musiał ponad ich głowami sięgać do obecnego w duszy ludu instynktu wielkości, musiał „plwać na tę skorupę i sięgać do głębi“.

Dzisiaj masy swoją postawą wykazały, że były właściwie zawsze z Józefem Piłsudskim, gdy On stał przy warsztacie wielkich prac historycznych. To właśnie polityków, a nie masę narodową Józef Piłsudski musiał oszukiwać, gdy podejmował wyprawę wileńską, gdy szedł na Kijów, gdy wreszcie przygotował i organizował zwycięstwo w wojnie z Rosją. Oto dowody, stwierdzające tę prawdę:

Liderzy największego stronnictwa sejmowego z czasów, gdyśmy toczyli śmiertelne zapasy z Rosją o ustalenie naszych granic wschodnich, w ten sposób oceniali potrzebę i sens wielkiego wysiłku narodowego. Stanisław Głąbiński w lutym 1929 r. pisał w liście otwartym: „Stwierdzam następnie, że nie obrzucaliśmy błotem b. Naczelnika Państwa, Józefa Piłsudskiego, lecz zwalczyliśmy go w zasadniczych sprawach politycznych i domagaliśmy się przyjęcia ofert pokojowych, z jakimi Rosja Sowiecka za pośrednictwem ś. p. Aleksandra Więckowskiego zwracała się do Polski celem zapobieżenia wojnie i ustalenia dobrych stosunków z naszym wschodnim sąsiadem“. A Roman Dmowski jeszcze 21 marca 1931 r. zaryzykował wypowiedzenie następujących słów: „Właściwie od początku istnienia naszego odbudowanego państwa nie mieliśmy żadnych dowodów na to, żeby Sowiety na serjo przedsiębrały wyprawę na Polskę w celu jej zniszczenia. Jeżeliśmy widzieli bolszewików pod Warszawą w roku 1920, była to tylko konsekwencja wyprawy kijowskiej, mającej na celu oderwanie Ukrainy od Rosji“.

Gdyby Józef Piłsudski w imię świętej „zgody narodowej“ uległ tym dziwnego nabożeństwa argumentom wpływowych polityków, a nie poszedł za głosem ducha dziejów ojczystych, licząc na oddźwięk moralny, jaki wielka sprawa znajdzie w masach narodu, tęskniących do dni chwały i wielkości — czy dzisiaj czytalibyśmy te słowa zarządzenia ks. Prymasa Hłonda z 15 maja, słowa, które każdemu Polakowi muszą rozszerzyć pierś uczuciem słusznej i wzniosłej dumy?! „W przyszłą sobotę nastąpi złożenie w Grobach Królew-

skich na Wawelu Zwłok Marszałka Piłsudskiego, który poza wielu innemi zasługami zapisał się w dziejach wskrzeszonej Polski, jako *pogromca zbrojnego bolszewizmu, co chciał podbić Polskę i wcielić ją we wszechświatową Republikę Sowiecką*. Zwycięstwami dnia 15-go i 16-go sierpnia 1920 roku stał się Marszałek Piłsudski w szeregu dziejowych obrońców wiary. Pod Jego dowództwem zwycięski czyn bohaterskiej armji polskiej zwany „Cudem nad Wisłą“ osiągnął znaczenie Lepanta i Wiednia. Za to należy się Józefowi Piłsudskiemu wieczna wdzięczność nietylko obywateli polskich, lecz całego chrześcijaństwa“.

Zmarły pogromca zbrojnego bolszewizmu miał za życia tysiące powodów, żeby być dumnym z samego siebie, żeby się nasycić własną sławą, lecz to Mu nie wystarczało. On chciał być dumnym ze swego narodu. Współcześni Polacy, zwłaszcza ta „zwierzchnia skorupa“, z którą się najczęściej spotykał, nie dawali słusznego powodu do dumy i to zapewne było źródłem tego rozdrażnienia, które cechowało Józefa Piłsudskiego pod koniec życia. Musimy zasłużyć sobie, aby był z poza grobu dumny z nas żyjących. Jaka droga prowadzi do tego? Droga przez trud i wytrwałość w pracy dla Ojczyzny.

Przypomina mi się w tem miejscu pewien szczegół. Latem 1924 r. miałem zaszczyt odwiedzić Marszałka Józefa Piłsudskiego w Druskenikach. Podczas wspólnego obiadu w miejscowym domu zdrojowym Józef Piłsudski wygłosił żartobliwy toast, w którym między innemi mówił o tem, jak On lubi się lenić i ile jest rozkoszy w lenistwie. Zdaje mi się, że ówczesne słowa Józefa Piłsudskiego zdezorientowały niejednego piłsudczyka.

Prawda jest zgoła inna. Józef Piłsudski był nietylko genialnym, lecz wprost niezmordowanie wytrwałym pracownikiem. W pracę, z którą wiązał swoje imię, wkładał ogrom przejęcia się i wytrwałości. Świadczą o tem *Moje pierwsze boje*. Potwierdzają to uwagi o roli podoficera w wojsku, udzielone przez Marszałka Józefa Piłsudskiego 28 marca 1930 r. *Wiarusowi*, które pozwolę sobie tutaj przytoczyć: „Kiedy co rok napływa do koszar tysiące i tysiące młodych chłopców, co ani z bronią, ani z ruchami, ani z porządkiem wojskowym nigdy nie mieli do czynienia, a w krótkim czasie trzeba ich przerobić na zdatnego do pracy żołnierskiej człowieka — to nieraz w głowie się mąci, czy to się daje dobrze wykonać.

Rola wtedy podoficera olbrzymieje, rola jego w wojsku staje się dużą i wielką. Wtedy każda minuta, jak w boju, jest droga i zda się, sił nie wystarczy, by wszystkiego dokonać. Mówię, jak w boju, gdyż sobie dnię bojów wspominam, *gdy dzień bojów mijał, nocy nie dosypiałem, by przemyśleć prace następne, i gdy nie znam wypadku, bym sobie nie wyrzucił, że wszystko, co należy, zrobiłem*“.

Jeżeli poczucie obowiązku było w Nim silniejsze od skłonności do wygody i wywczasów, tem większa Jego zasługa, a dla nas — nauka i przykład. Wielki Zmarły pozostanie dla nas zawsze żywą prawdą tych rozległych możliwości, jakie stają przed każdym z nas, jeżeli naszą myśl, serce i wolę oddamy bez reszty na służbę Ojczyźnie, nierozdzielnie łącząc własną godność osobistą i własną pomyślność z godnością i pomyślnością całego narodu.

Taka jest wymowa śmierci Tego, który pracą całego swego życia, a wreszcie przez zgon budował jedność narodu i jego wewnętrzną zwartość.

ROMAN KOŁONIECKI

ŚMIERTELNA BALLADA

I

Niemen o brzegi pluszcze,
Pyta Litwa-ojczyzna:
— Czemuś rzucił swe puszcze,
Synu — przyznaj się, przyznaj!

Szumiań litewskie bory,
Pachnące grzybobraniem:
— Czemuś opuścił skory
Swoje umiłowanie?

Przywołują Cię z żalem
Wiatry i ludzie leśni:
— Czy nie kochasz już wcale
Naszych miodów i pieśni?

Tu przy Tobie, dla Ciebie
Wszystko było weselem;
Obłokami po niebie
Przepływały niedziele;

Lśnią okolice miłe
W jeziornych lustrach sinych —
Spójrz: tu szczęścia przeżyłeś
Najrzewniejsze godziny.

Tu zaznałeś miłości
Dworku bieluteńskiego,
Co blasku nie zazdrościł
Nawet najczystszym śniegom;

U okien miał dziewanny,
Maki, malwy, nagietki...
Tu dzień — jak uśmiech panny,
Tu noc — jak jedwab lekki.

Jakie wróżby zdradzieckie,
Jakie znaki, zaklęcia
Wywabiły Cię dzieckiem
Z matczynego objęcia?

Kto Ci oczy młodzieńcze
Błyskawicą zapalił,
Najpiękniejszych snów tęcze
Z rzecznej wywołał fali?

Może to jęk puhacza
Z malowniczego siola
Wywiódł Cię?... co oznaczał?
Poco wołał, gdzie wołał?

Nie widziały Cię więcej
Ranki, mgłami zasnuć,

Ani oczy dziecięce,
W których skarży się smutek,

Ani płowe polany,
Ani dom, co wciąż czeka:
— Gdzie gospodarz kochany?
Kiedy wróci zdaleka ?

Nocą skrzypią drzwi mile,
Pyta Litwa - ojczyzna:
— Czemu kraj swój zdradziłeś,
Synu — przyznaj się, przyznaj!

II

— Nie zdradziłem tej ziemi,
Prosty parobek Boży:
Bóg śladami jasnemi
Inny szlak mi otworzył.

Miłowałem swe puszcze,
Wsi, co chatami kwitną,
Niemen, co cicho pluszcze,
Stu jezior toń błękitną,

Fioletowe moczary
I fioletowe wrzosy,
I wilki, i komary,
I chór żab wielogłosy!

Na zawsze mnie uwiodły
Melodje kołysanki,
Dziadów guślarskie modły,
Smutne cmentarne wianki;

Och! i pamiętam jeszcze
Matczyne pocałunki,
Leśne echa złowieszcze,
Stodkie bajki piastunki,

Świtły, wschody, zachody,
Wodne, powietrzne dziwy!
Tylko tam byłem młody,
Tylko wtedy szczęśliwy!

Porzuciłem swe włości,
Chcąc je pojąć inaczej —
Porzuciłem z miłości,
Porzuciłem z rozpacz!

W każdą mą noc bezsenną
W cichym dworku z modrzewia
Księżyc tarczą wojenną
Na chmurach gnuśnie rdzewiał,

Z nad próchniejących gontów
Krwia sny zawile plamił,
Gdym śnił ojcowski kontusz
Z krasnemi wyłogami.

W ryku nocnego zwierza
W zielone ściany lite
Bożą pięścią uderzał
Głuchy turkot kibitek.

Trupy wstawały z mogił,
Rany niosąc krwawiące,
I nie schodziły z drogi
Nawet gdy błysło słońce.

W dzwonów wileńskich wrzawie
Brzmiał głośny płacz niewieści...
Żołnierski sen o sławie
Chłopiące serce pieścił.

Gdy szum wichrów zwycięski
Rósł nad borem jak obłęd,
Zacząłem nagle tęsknić
I już kochać nie mogłem.

*Jątrzyły mą tęsknotę
Buki, dęby prastare,
Jak harfy szczerolśtote
Perkunowych harfiarek;*

*Uczyły mnie słoneczną
Wiedzą ku szczytom sięgać,
Bym poznał, co jest Wieczność,
Bym czuł, co jest Potęga!*

*Pod ksiąg i liści zwałem,
Półbożyc i półdjabłę,
Poomacku sięgałem
Ślepą ręką po szabłę.*

*Wiał mi nad szkolną ławą
Czad romantycznych wierszy,
Łącząc Wilno z Warszawą
Pierścieniem coraz szerszym.*

*Szły zamysły olbrzymie
I szły olbrzymie dzieła.
Litwa zmieniła imię,
Miano Polski przyjęła.*

*Usłyszałem — kość z kości
I krew z krwi swej ojczyzny,
Prośbę o deszcz wolności,
O deszcz wielki i żyzny!*

*Gaje, bugaje młode
O bujny wzrost prosiły,
Zródła — o chłodną wodę,
Gleba — o nowe siły.*

*Żądza orała ziemię,
Pełne ciszy i mroku...
Rozwielmożniał się we mnie
Ciężar Bożych wyroków —*

*To on iść mi rozkazał
Na bał nędzy i złości,
Bał ognia i żelaza,
Bał śmierci i ciemności!*

*On także mi polecił
Sprawiać żołnierskie rotę,
By wśród światów zamieci
Budzić szal mej tęsknoty.*

*Nie zna bólu ni głodu,
Nie wie, co trud i twoga,
Kto raz popadł zamłodu
W ręce żywego Boga.*

*Pojąłem, co to praca —
Boży parobek prosty:
Umarłym życie wracać,
Tęcze rzucać jak mosty.*

*Przez przekleństwa i blizny,
Przez tułaczki i bitwy
Wróciłem do ojczyzny,
Do swojej Polski - Litwy,*

*Gdzie szumią dawne puszcze
Snom wiernych a zuchwałych,
Gdzie Wisła cicho pluszcze,
Gdzie śpi mój dworek biały...*

III

*Dawność wszystko odmienia —
Jak Cię dom Twój przywitał:
Pajęczyną uśpienia?
Zapachem wieńców z żyta?*

*Tyś zmiłł, czy on oniemiał
W ptactwa dzikiego krzyku?
Nie — wszak tu inna ziemia,
Bez małw i słoneczników!*

Stała w drzwiach drewnianych
Straż Twych spojrzeń ostrożna:
Czas poprzesuwał ściany,
Ze ich poznać nie można!

Tamten dom z desek wonnych
Jaśniał zim dawnych śniegiem;
Tu inny dom — przestronny,
Ze szkła, wapna i cegieł.

Tam dom mały, lecz dumny,
Wszystkim wiatrom otwarty,
A tu — ciężkie kolumny,
Mury, kraty i warty.

Szumiące puszcze Twoje
Przerosła puszca ludzi.
Inne ganki, pokoje
Twardy krok Twój obudził.

Inny dom Cię tu zastał,
Nie tamten, w woniach mięty —
Betonowego miasta
Mocnym kręgiem objęty.

To nie dom — to Cię wita
Wyspa na oceanach,
Ogrodami zakryta,
Ogrodami zalana!

Oddał Ci się Belweder,
Biała róża Warszawy:
W bryle święconej kredy
Pustelnia Twojej sławy.

Dom to mały — dom z czarów,
Dom z dziwnych opowieści,
Bo tyle w nim obszaru,
Ze pół Polski pomieści!

Kolumnami, powalą
Nie kołysze się w niebie —
Dziw, że Ci go nie mało,
Ze go starcza dla Ciebie!

Pewnie mury te skrycie
Długo się sposobiły,
Żeby zawrzeć Twe życie —
Wulkan tajemnej siły,

Skoro dom się nie wzbraniał
Przyjąć w siebie Twej duszy,
Rzeki Twego kochania, —
Skoro się nie rozkruszył!

Jego dłużniśmy sile,
Jego hardej trwałości
Wszystkie bezpieczne chwile,
Wszystkie błogie radości,

Nasze szczęścia codzienne,
Spokój żrenic szeroki,
Myśli wysokopienne,
Odpoczynek głęboki!

Łaska nieopisana
Błogosławiła żniwom:
Żyłeś, czuwałeś — za nas
Obecnością gorliwą.

Żyłeś — nasz, żyłeś — człowiek,
Żyłeś — żywioł bez miary,
Nasza krew, nasze zdrowie,
Światowid naszej wiary!

Gdy ufni Twym zakonom
Szliśmy, bandosi prości,
Spać — Ty, krzepki ekonom,
Sam strzegłeś naszych włości;

Czerstwy, jak sen potrzebny
Wiotkim roboczym siłom,
Żyłś — gospodarz zgrzebny, —
Twoje serce w nas biło.

IV

— Tak, sam stałem na straży,
Sam — pod słońcem w zenicie...
Kto choć myśleć się ważył,
Jakie tu miałem życie?

Oddał mi się Belweder —
Biała czaszka Warszawy,
Gdym brał ubogą schedę
W opiekuństwo swej sławy.

I szeptał próg do proga:
„Już tu zawsze zostanie,
Komu dane od Boga
Najdłuższe umieranie“.

Nie wiecie, jakie obok
Chichotały chimery,
Gdym rachował się z sobą
I dał nocą papiery!...

Lecz piersi mam stalowe,
Jak średniowieczni mężo:
Kto powtórzyłby słowem,
Com ja pisał orężem?

Zawsze tkwił mi w pamięci
Szlak z najostrzejszych mieczy;
Lecz wielkoludów nęci
Zwykły żywot człowieczy.

Gdym chciał rozkwiecić majem —
Odczłowieczone życie
I powrócić w kraj bajek —
Dumałem sobie skrycie

(Żądny dziecięcych twarzy
I różowych uśmiechów),
Że mi się kiedyś zdarzy
Być... dziadkiem do orzechów!

A gdym wyszedł przypadkiem
Nie w gotyckiej swej cnocie,
Lecz dobrodusznym dziadkiem,
Co, rozdając łakocie,

Wiośnie dziwi się wczesnej,
Kwietnym pąkom, już sporym —
Dotykálny, cielesny,
Byłem dla was upiorem!

W belwederskich szpalerach
Grała sowa muzyka,
Gdym się uczył umierać
I od świata odwykać.

W parku, gdzie zieleń skąpa,
Krok mój ploszył słowiki:
Wśród drzew sam cień mój stapał,
Jak stąpają pomniki!

Kiedym sen wasz przemierzał,
Sen leniwy i długi —
Musiałem iść, jak wieża
Wiekopomnej zastugi!

Pierś, gwiazdami zakrytą,
Głowę swą w ciemnej chmurze
Widziałem stokroć rytą
W najpyszniejszym marmurze.

Gdym się w bólu zatracił,
W najzatwardziałym gniewie —
Tors mój stawał na placach,
Tors w brązowym odlewie.

Żarły mnie słone poty
Bożego okrucieństwa,
Żebym był Demon cnoty,
Żebym był Tyran męstwa!

Och! wykapałbym ciało
W weselu pospolitem,
Żeby tak nie bolało
To stawanie się mitem!

Na cokole niezłomnie
Trwałem — a jednym z wielu
Nie mogłem być... Kto o mnie
Snił jak o przyjacielu?...

Więc czoło miałem groźne,
Całe we mgle milczenia,
I oczy skryte, mroźne —
Jak cezary z kamienia!

Chroniłem się przed wami
Nieprzekraczalną ścianą,
Czuwając nad tłumami
Samotnością kościaną.

Żyłem dla tych, co żyją,
Lecz i dla tych, co będą,
Bezimienną, niczyją
Urastając legendą;

Byłem skalistym polem,
Skąd rzeźwe wiatry wieją,
Rozkwitając symbolem,
Dojrzewając ideą!

Pragnąłem żyć brat braciom,
A musiałem żyć dumny,
By dorosnąć postacią
Do przyszłej wielkiej trumny,

Żeby choć pod jej wiekiem
Czuć zwyczajne wesele,
Czuć się tylko człowiekiem
Przez powszednich dni wiele.

Nim owionie ramiona
Płaszcz anielskiej opieki —
Długo potrzeba konać,
By żyć potem na wieki.

V

O, dorosłeś postacią
Do wielkiej, ciężkiej trumny —
Słup ognisty swym braciom,
Taki jak nigdy dumny!

Belweder — domek z czarów,
Z dzieciennych opowieści:
Choć tyle w nim obszaru,
Śmierci Twojej nie pomieści!

Czernią łopoce w niebie,
Flagą czerwono - białą —
Dość go było dla Ciebie,
Lecz na śmierć Twoją — za mało!

Nie sprostą tajemnicy,
Choć uniósł brzemień sławy!
Przekwitł różą stolicy,
Dziś lśni czaszką Warszawy.

Znów głębie się rozwarły,
Znów nikt prawdy Twojej nie zna,
Ty — ogromny Umarły,
Ty — pustka międzygwiezdna,

Ty — wrząca otchłań duszy
Między ziemią i niebem!
Jeśli serca rozkruszysz
I zmiażdżysz swym pogrzebem —

Kto z tej pustki uleczy?...
 ...Wynieśli — nieśli z trudem
 Lichy zewłok człowieczy
 Nad zgromadzonym ludem.

Dźwigali Cię przez miasto,
 Osierocone dzieci.
 Kometą ogoniastą
 Trup Twój płonął i świecił.

Płynęła przez ulice
 Trumna wielka i niema,
 Szeptala tajemnicę:
 Że już Ciebie tu niema...

Maju, zielony maju!
 Zima trawy twe strzyże —
 Czemu na dróg rozstajach
 Zakwitły wszystkie krzyże?

Maju, tyś miesiąc biały!
 Ziemia o zielen pyta,
 Śnieżne burze przewiały,
 Blednie Rzeczpospolita.

Maju — maju czerwony,
 Jak sztandar narodowy!
 Pons trumiennej zasłony
 Ogniem owija głowy.

Maju, tyś miesiąc z czerni —
 Krepowy i ponury!
 Jak żałobny październik,
 Żałobne miotasz chmury.

Maju, maju majowy,
 Tyś czterobarwna wstęga,
 Co z urny kryształowej
 Do piersi naszych sięga!

Zima trawy twe strzyże,
 Ziemia dziwnie uboga;
 Zakwitły tylko krzyże
 Przy wszystkich polnych drogach.

Kto je szczerze podlewał
 Nieutulonym płaczem,
 By kwiat z martwego drzewa
 Dostać w wianie żebraczem?

Kto czułością swych szlochów
 Świeże wywabiał pędy?
 Czyj pogrzebowy pochód
 Dzisiaj przechodził tędy?

To On szedł, cuda czyniąc,
 Na wędrówkę nieznana —
 Szedł ciężką srebrną skrzynią,
 Samotnością kościaną.

Brzękli mu srebrnem wiekiem
 Nad srebrną śpiącą głową.
 Żył wśród nas, żył — człowiekiem,
 Umarł — Polski połową.

VI

— Nie, nie — ja nie umarłem!
 To kłamstwo: czy słyszycie?
 O śmierć tylko się wsparłem,
 By wreszcie zacząć żyć.

Nie mówcie, że mnie niema,
 Uciszcie mroczne głosy:
 Wciąż rękami obiema
 Dzierzę Ojczyzny losy.

Umarłem dziś w Warszawie,
 Samotnik z Belwederu,
 Lecz na ojczyściej nawie
 Widmem stoję u steru;

Umarłem — tylko człowiek
Z szablą i w maciejówce,
Lecz wciąż widzę z pod powiek
Swoje posłuszne hufce!

Spoczywam w trumnie ciałem
(Kiedyś i ciało wstanie);
Z wami krwią pakt pisałem
Na wieczne obcowanie!

Jany i Kazimierze
Dawno sen zmógł nieludzki;
Ja z żywymi w przymierze
Wszedłem, żywy Piłsudski!

Miedzią mury rozsadzę,
Bronzem bruki rozbije,
Wszystko wezmę we władzę,
Bo ja żyję, ja żyję!

Żyję — najtęższem słowem,
Co rozbrzmiewa aż w duszy
I co syki węzowe
Tłumiąc — sumień nie głuszy;

Meteorami w nocy,
Posągami na placach,
Groźnym szeptem przemocy
W ministerskich pałacach!

Mój gest z za grobu mroczy
Ławy poselskie w sejmie:
Stałą wciąż są me oczy,
Z których jutro kir zdejmie.

W bój — jak Nike — za włosy
Porywałem żołnierzy;
Teraz — prostuję kłosa
Bulgotem soków świeżych.

Idźcie, gdzie wieńce złote
Lśnią na pobojuwiskach:
Wiosna moim żywotem
Brzozami z darni tryska!

Herb Ojczyzny widomy,
Bronię jej niewidzialnie.
To ja: — kamieniołomy,
Fabryki i kopalnie!

Gryzę polskie ugory,
Boży pług na pustyni.
To ja: — elewatory,
Gmachy i doki Gdyni!

Niby świątkowie chmurni,
Znalezieni na roli,
Jestem z górnikiem górnik,
Z tkaczem tkacz, brat niedoli.

Choć nie huczy drogami
Moja czarna kwadryga,
Jestem przy was, nad wami,
Każdy w sobie mnie dźwiga!

Nie śpię w trumiennych wiórach —
Każdy w kabale miasta
Ma we mnie sobowtóra,
Co o śmierć go przerasta!

Rozmnożony w gromadę,
W niepokoju, w rozpacz
Dłoń na barkach wam kładę —
Wy wiecie, co to znaczy.

Życie swe w liczbę zmieniam
Nieodgadłą a ścisłą,
Która wie dzie z marzenia
Ku pracom i przemysłom.

W każdym dziele najmłodszym
 Żyję, przytomny wszędzie,
 I gdybym od was odszedł —
 Wiem, że Polski nie będzie!

Lecz nie — ja nie umarłem,
 To kłamstwo: czy słyszycie?
 Śmierć serdecznie odparłem,
 Wszczepiony w wasze życie.

VII

Tyle z Ciebie, człowieka,
 Zostało nam w spuściźnie,
 Że próchnem i po wiekach
 Będziesz świecił ojczyźnie.

Wiernie u kolan matki
 Sercem spocząłeś w Wilnie,
 By po dziejów ostatki
 Świadczyło nieomylnie.

Jakbyś nie chciał śnić we śnie —
 Na śmiertelne wezglowie

Czaszkę pustą boleśnie
 Położyłeś w Krakowie.

Tyle z Ciebie, człowieka,
 Zostało między nami,
 Że spoglądasz z pod wieka
 Zamkniętymi oczami.

VIII

— O, nie każcie mi leżeć
 W ciasnej wawelskiej krypcie:
 Jam nad góry i wieże,
 Więc mi górę usypcie!

Będę stał na niej codzień
 I będę się z mogiły
 Rozglądał po narodzie:
 Ile w nim mojej siły.

Wiem, że mi nie zaprzeczy:
 Na zawsze w nim zostanie
 Mój wieczny trud człowieczy —
 Wieczne odpoczywanie.

ANDRZEJ JAŁOWIECKI

KRYZYS GOSPODARCZY W ŚWIELE OSTATNIEGO STULECIA

W szkicu niniejszym chcielibyśmy wyjaśnić długi szereg skutków gospodarczych, które świat obecnie przeżywa, w oświeceniu przemian długiej fali, w oświeceniu pewnych tendencji gospodarczego rozwoju, zarysowanych z dużą wyrazistością już przed wojną światową. Problem przeżywanych obecnie trudności gospodarczych, problem całej katastrofy, która rozpoczęła się w r. 1929, a raczej od tego roku dała się odczuć światu, rozpatrywany jest zazwyczaj pod kątem widzenia tych sił, które od okresu wojny (względnie od jej początku) wyrzucały z równowagi poszczególne elementy gospodarcze, wprowadzały silne dysproporcje. Taki punkt patrzenia na źródło obecnych przemian gospodarczych, bezwzględnie bardzo silnie skracający pole widzenia i perspektywę, znakomicie utrudnia ujęcie szeregu zjawisk w ich formie pełnej, wytłumaczenie zupełne pewnych ruchów gospodarstwa światowego. Chcielibyśmy tutaj podjąć próbę wytłumaczenia szeregu zjawisk, które doszły w latach ostatnich do stopnia najwyższego napięcia—pod kątem widzenia całego rozwoju gospodarczego XIX w. Wydaje nam się, że cały obecny kryzys daje się niemal bez reszty wytłumaczyć tendencjami gospodarczego rozwoju świata w w. XIX, że w świetle tych tendencji występuje on jako załamanie nieuniknione — załamanie, którego dalsze losy mogą być pokierowane zarówno w stronę dawnych form gospodarki narodowej i międzynarodowej, jak i w stronę nowych, dotąd niewątpliwie jeszcze w pełni nie wykrystalizowanych form współpracy gospodarczej. Wydaje nam się również, że takie ujęcie obecnego załamania, znakomicie rozszerzające pole badań w czasie, rozszerzające przyczyny obecnego kryzysu o zjawiska, których siła w dobie ostatnich lat dwudziestu silnie przybladła, ale które zade-

cydowały o istnieniu najważniejszych czynników rozwojowych okresu wojennego — jest, dla badań nad współczesną rzeczywistością gospodarczą, metodą owocną, dającą nowe, głębsze spojrzenia na fakty, ujmowane dotąd z perspektywy zbyt bliskiej.

1. ZAŁOŻENIA ROZWOJU GOSPODARCZEGO XIX W.

Wiek XIX rozpoczął się szeregiem wynalazków, które oddały niemal niepodzielne władanie nad produkcją przetwórczą krajom, posiadającym podstawowe dwa surowce: żelazo i węgiel. Nie popełnimy chyba błędu, jeśli problem ten przyjmiemy jako wyjściowy, posiada on bowiem dla umotywowania dalszej części szkicu niniejszego wagę zupełnie pierwszorzewną. Istotnie: wynalazek maszyny parowej i szybka mechanizacja produkcji stworzyły z obu wspomnianych surowców podstawę technicznie konieczną dla wszelkiego rozwoju gospodarczego, zdecydowały też bezpośrednio o gospodarczej potędze i gospodarczym rozwoju krajów, posiadających te właśnie surowce. Przez cały ciąg XIX w. kraje te stały pod znakiem niemal niczem niehamowanego rozwoju swojej produkcji węgla i żelaza, cały bowiem postęp gospodarczy, w znaczeniu zwiększenia *quantum* produkcji światowej, odbijał się bezpośrednio na zwiększeniu spożycia węgla i żelaza — niezależnie od tego, jakiej dziedziny produkcji postęp ten dotyczył. Węgiel i żelazo wchodziły jako koszt produkcji — w postaci paliwa i narzędzi — do każdej niemal gałęzi produkcji. Państwa, posiadające ten surowiec, stały przeto przez niemal cały wiek dziewiętnasty przed tendencją rozwoju jego wydobycia. Na tem jednak problem nie wyczerpuje się. Wzrost spożycia bawełny był — *toutes proportions gardées* — niemal równie silny, jak wzrost światowego spożycia żelaza i węgla; podobnie możnaby powiedzieć o szeregu innych dóbr. Właściwy sens tego kierunku rozwoju ocenić można dopiero wtedy, jeśli się wgłębić w analizę kosztów transportu. Otóż, przemysł przetwórczy we wszystkich prawie dziedzinach powstać mógł na konkurencyjnych warunkach tylko w tych ośrodkach, które były wyposażone w żelazo i węgiel. Wynikało to z tego prostego powodu, że koszt przewozu żadnego surowca, potrzebnego w przemyśle przetwórczym, nie był tak wysoki, jak koszt przewozu węgla i rudy żelaznej. W istocie, jeśli przewóz tony węgla w końcu XIX w. z W. Brytanji do Egiptu podrażał cenę węgla o bezmała 100 proc., to przewóz bawełny z Egiptu do W. Brytanji podrażał jej cenę o bardzo znikomym odsetek. Koszty produkcji przemysłu, który musiał sprowadzać zdala surowce przetwarzane bezpośrednio i następnie przetwory te wysyłać znowu na rynki dalekie (mogły niemi być te właśnie, skąd importowano surowiec), były niższe niż koszty produkcji przemysłu, który posiadał materiał do przetworzenia na miejscu, który jednak musiał zdala sprowadzać surowiec na-

pędowy — węgiel i surowiec drugi, konieczny dla produkcji narzędzi — żelazo. Nie należy zaś zapominać, że pod koniec XIX w. poziom frachtów morskich był niemal trzykrotnie niższy (jeśli je mierzyć ceną towarów), niż w pierwszej połowie tego stulecia, że więc w końcu stulecia kraje, nie posiadające węgla i żelaza, miały wobec krajów posiadających te surowce w zakresie produkcji przetwórczej znakomicie lepsze niż pierwiej warunki. Było to jedną z naczelných cech charakterystycznych rozwoju gospodarczego XIX w., że centra przemysłowe powstawały nie w ośrodkach, produkujących surowiec do przerobienia, ale w ośrodkach, produkujących węgiel i żelazo.

Drugą, również charakterystyczną cechą rozwojową XIX w. było utrzymanie monopolu produkcji przeróbczej w tych krajach, które go, dzięki spłotowi przyczyn, dzierżyły już w początkach stulecia. Mamy tutaj na myśli W. Brytanię i północno - zachodnie krańce Europy — Belgję, Holandję, północno - wschodnie prowincje Francji. Istniała tutaj stara tradycja kupiecka, wyrobiły się stare metody gospodarcze; istniał tutaj już bogaty stan trzeci — stan, który nawykem stuleci angażował kapitały w handlu i przemyśle, w końcu zaś, *last but not least*, w tym właśnie kącie Europy zgromadziły się już od stuleci kapitały, istniał rozwinięty system bankowy, ten nieodzowny czynnik każdej ekspansji produkcji przemysłowej w ustroju liberalnym. Te wszystkie czynniki, które określić można krótko mianem kultury gospodarczej, przesądziły o fakcie, że zróżniczkowanie, jakie wprowadzał już problem żelaza i węgla, poszło jeszcze dalej: dokonało się między krajami, posiadającymi oba te surowce.

W. XIX rozpoczął się tedy dwoma monopolami: monopolem na żelazo i węgiel i monopolem na pewien ogół stosunków, który nazwalismy tutaj kulturą kupiecką. Przesądziły one o podziale pracy na rynku światowym przez cały ciąg XIX w., choć już w drugiej połowie tego stulecia ukazywać się zaczęły coraz to liczniejsze rysy na zwartym początkowo systemie. Ten podział pracy polegał na przepływie strumienia surowców do jedynego światowego ośrodka produkcji — do trójkąta zachodnio - europejskiego — i na odpływie z tego właśnie trójkąta strumienia fabrykatów przemysłowych — strumienia, rozlewającego się następnie po wszystkich rynkach surowcowych świata. Wykonywanie obu monopolów, o których była wyżej mowa, zależne było (co jest w zupełności oczywiste) od trwałości przyczyn tych monopolów, a więc od trwałości stosunków, w których posiadanie węgla i żelaza w pobliżu decydowało o możliwości podjęcia produkcji przeróbczej na warunkach konkurencyjnych, i od trwałości stosunków, w których kultura gospodarcza była bardzo niejednorodna w znaczeniu geograficznego rozmieszczenia, była wyłączną własnością pewnego wąskiego skupiska ludzi.

2. MECHANIZM WYMIANY MIĘDZYNARODOWEJ XIX W.

Rozwój gospodarczy XIX w. implikował już zniknięcie obu monopolii. Implikował z szeregu względów, które poniżej postaramy się wyłuszczyć. Zajmiemy się każdym monopolem oddzielnie, przede wszystkim więc monopolem na węgiel i żelazo. Jak staraliśmy się wykazać w poprzednim ustępie, znaczenie posiadania tych surowców przez dany rynek polegało w pierwszym rzędzie na tem, że koszt ich transportu, bardzo wysoki w porównaniu z ich wartością, uniemożliwiał rozwój przemysłu przeróbczego w tych wszystkich wypadkach, kiedy rozwój ten miałby się odbywać w punktach oddalonych od centrów produkcji żelaza i węgla. Twierdzenie to możnaby sformułować w tej formie, że udział kosztu przewozu surowców w koszcie końcowym danego produktu przemysłowego był wyższy w tym wypadku, jeżeli przewożonym surowcem był węgiel i żelazo, niż kiedy przewożonym surowcem była bawełna, wełna, kauczuk i inne surowce, których wartość była stosunkowo znacznie wyższa od kosztów ich transportu do ośrodków przemysłu przetwórczego ¹⁾.

Jak łatwo odgadnąć, istnienie takich stosunków było w ścisłej zależności od rozwoju rynku frachtowego. Rozwój ten poszedł po linii niekorzystnej dla krajów, wykonywujących monopol na żelazo i węgiel. Postępy techniczne w budowie statków, coraz to zmniejszające się ryzyko przewozu morskiego, wkońcu zaś niezmiernie szybki wzrost światowego tonażu obniżał stale przez cały w. XIX, poziom frachtów, koszt przewozu surowców wciąż malał w stosunku do ich wartości, a przytem, co jest dla interesującego nas zagadnienia zasadnicze, malał szybciej np. w stosunku do węgla, niż do jakiegokolwiek innego surowca. Malał szybciej dlatego, że węgiel, ładunek masowy, stawał się coraz powszechniejszym ładunkiem powrotnym tych statków, które zwoziły do W. Brytanji i portów Morza Północnego surowce zagraniczne. Im bardziej wyspecjalizowany stawał się wywóz uprzemysłowionych krajów Europy, im mniejszą rolę grał wywóz artykułów, stanowiących (ze względu na przewóz morski) ładunki masowe, im osobliwszych urządzeń okrętowych wywóz ten wymagał — wzrastał głód na ładunek powrotny z portów europejskich do krajów surowcowych, tembardziej, że równolegle ze zmniejszaniem się powrotnych ładunków masowych rosły ładunki surowców w kierunku do uprzemysłowionych państw Europy.

Z drugiej strony — od ostatniego ćwierćwiecza ubiegłego stulecia coraz to bardziej uniezależniała się produkcja przetwórcza od węgla. Rosło szybko spożycie innych źródeł energii pędnej — nafty i elektryczności, unieza-

¹⁾ Wniosek ten stanowi skutek dłuższego toku myśli, który czytelnik zresztą ze względu na jego prostotę łatwo będzie sobie mógł odtworzyć.

leżniając szereg krajów od importu węgla i pozwalając im korzystać z innych źródeł energii pędnej, w stosunku do których nie potrzebowały w równie wysokim stopniu opłacać kosztów transportu, jak przy imporcie węgla. Wprawdzie światowe spożycie węgla w ciągu lat 1875 — 1913 wzrosło bardzo silnie; jednak spożycie energii elektrycznej i ropy wzrosło również, w stopniu znakomicie silniejszym. Przytem wzrostu tego nie mierzymy tutaj w procentach stanu z przed 1875 r., gdyż w stosunku do energii elektrycznej taki wzrost odbywał się *ex nihilo*, lecz mierzymy go wielkością produkcji, opartej o węgiel, ropy i elektryczność. Te dwie przyczyny: spadek frachtów morskich i uniezależnienie się produkcji przemysłowej od węgla, zniwelowały różniczkujący wpływ posiadania w pobliżu węgla i żelaza na strukturę poszczególnych części rynku światowego i przyczyniły się do zniszczenia jednej z najbardziej charakterystycznych cech rozwoju gospodarczego XIX w.

Inne przyczyny rządziły tendencją, coraz silniej ujawniającą się wraz ze schyłkiem XIX stulecia: przenoszenia się punktu ciężkości światowej produkcji przemysłowej z uprzywilejowanego przez posiadanie dwóch monopolii północno - zachodniego trójkąta europejskiego na rynki dotąd surowcowe. Korzystanie z obu monopolii — monopolu na węgiel i żelazo i monopolu na kulturę gospodarczą, które dało niewielkiemu skrawkowi ziemi panowanie nad światową produkcją najważniejszych przetworów przemysłowych, stworzyło pewne specyficzne warunki rozdziału dochodu społecznego w skali światowej. W W. Brytanji, w Holandji, w Belgji, we Francji gromadziły się ogromne zapasy kapitałów, które angażowały się bądź w rodzimej produkcji przetwórczej, bądź w produkcji surowców w krajach surowcowych. Osiągane z produkcji przeróbczej zyski przemysłu północno - zachodniej Europy rozlewały się szeroką falą po rynkach surowcowych, zasilając tam produkcję surowców i stwarzając warunki pod rozwój spożycia w tych krajach wyrobów przemysłu uprzywilejowanego trójkąta. Ten ruch kapitałów o dwóch równoległych, ale w przeciwnych kierunkach płynących strumieniach: zysków — w kierunku uprzywilejowanego trójkąta i pożyczek — w kierunku krajów surowcowych, wyrównywał powstające dysproporcje w rozdziale dochodu społecznego w skali światowej, umożliwiając krajom produkującym surowiec podnoszenie swej stopy życia, podnoszenie swej kultury gospodarczej. W końcu XIX w. na wszystkich niemal odcinkach rynku światowego istniały kulturalne możliwości powstania przemysłu przeróbczego; monopol na kulturę przemysłową, wykonywany przez kraje uprzywilejowanego trójkąta europejskiego, znikł bezpowrotnie.

W. XIX zakończył się przeto zniesieniem zasadniczych warunków, z których powstał. W krajach surowcowych istniały pod jego koniec wa-

runki rozwoju przemysłu przetwórczego — warunki, których nie paraliżowała wyższość uprzywilejowanego trójkąta zachodnio-europejskiego ani z tytułu monopolu na węgiel i żelazo, ani z tytułu monopolu na kulturę gospodarczą. Warunki te jednak wtedy dopiero mogłyby pozwolić na powstanie, przy wolnej międzynarodowej wymianie, ośrodków przemysłowych w krajach dotąd surowcowych, gdyby dawały taką przewagę krajom surowcowym w zakresie poziomu kosztów produkcji, że kraje te mogłyby podjąć skuteczną walkę konkurencyjną z uprzywilejowanym trójkątem zachodnio-europejskim. Warunki takie istotnie istniały. Jak stwierdziliśmy wyżej, posiadanie i wykonywanie przez W. Brytanię i kraje północno-zachodniej Europy monopolu na produkcję przetwórczą w najważniejszych dziedzinach działalności przemysłowej wprowadziło pewne dysproporcje w rozdziale dochodu społecznego w skali światowej, dysproporcje, wyrównywane w pewnej mierze powrotem zarobionych przez kraje te kapitałów nie tylko w formie zapłaty za surowce, ale również w formie kredytów na rozbudowę dalszej produkcji tych surowców. Jednak (i moment ten odgrywa rolę zasadniczą) w krajach północno-zachodniej Europy podnosiła się silniej niż gdziekolwiekindziej na świecie stopa życia, podnosiły się silniej niż gdziekolwiekindziej płace robocze, w poważnej części związane na poziomie sztucznym przez związki zawodowe, wywierające coraz większy nacisk na kształtowanie się poziomu płac. Rosły więc tutaj niewspółmiernie w stosunku do reszty świata koszty produkcji — przyczem, oczywiście, wzrost ten miał charakter względny. Szybkie postępy techniki pozwalały wprowadzić na produkowanie coraz to tańszymi środkami tych samych dóbr, ale jeden z czynników kosztów produkcji — płace robocze — stawał się wielkością coraz sztywniejszą; wskutek tego w krajach dotąd surowcowych płace te podlegały jeszcze naogół żelaznemu prawu płac w znaczeniu zupełnie dosłownem, bo w większości pozaeuropejskich (o w iluż wypadkach i europejskich) krajów surowcowych pokrywały tylko fizycznie niezbędne potrzeby życiowe robotnika. Innemi słowy, kraje dotąd uprzywilejowane, należące do szczęśliwego trójkąta zachodnio-europejskiego, nie tylko straciły posiadany na początku XIX w. monopol na produkcję przeróbczą, wynikły z posiadania na miejscu rozwiniętego już przemysłu żelaznego i węglowego, oraz posiadania wysokiej kultury gospodarczej — ale wykazywały nawet tendencję do coraz gorszych, względem krajów dotąd surowcowych a uprzemysławiających się, warunków konkurencyjnych.

Mamy tu do zanotowania inny jeszcze objaw, nader charakterystyczny dla rozwoju gospodarczego XIX w. Poziom cen wewnętrznych i cen eksportowych w W. Brytanji w połowie ub. stulecia różnił się dosyć jaskrawo, przyczem naogół ceny dóbr eksportowanych znacznie przekraczały poziom

cen dóbr, sprzedawanych na rynku wewnętrznym. Było tak w przeważającej części produkcji brytyjskiej, przedewszystkiem zaś w zakresie jej produkcji węgla i żelaza, i przypuszczamy, że posiadanie odpowiednich danych dla Belgii czy północno-wschodniej Francji dałoby nam wyniki podobne. Inaczej być nie mogło. Monopol, wykonywany w stosunku do krajów surowcowych przez kraje uprzywilejowanego trójkąta europejskiego, przy stałym wzroście popytu na artykuły przemysłowe w krajach surowcowych, któremu niezupełnie dorównywał wzrost produkcji w krajach uprzemysłowionych Europy — pozwalał na realizowanie w zbycie zagranicę zysków znacznie przewyższających efektywne koszty produkcji. Przy zbycie w kraju, gdzie zagęszczenie produkcji było silne, gdzie zbyt nie ponosił ryzyka przewozu morskiego — realizowane zyski były z natury rzeczy mniejsze, tembardziej, że w wielu dziedzinach, np. w węglu i żelazie, wielka ilość warsztatów ze względu na swoje położenie geograficzne nie mogła brać udziału w eksporcie. Odnosiło się to przedewszystkiem do zakładów tak odległych od portów, że cena przewozu produktu do portu niszczyła wszelką kalkulację, następnie zaś — do zakładów niewielkich, ze względu na swoją gospodarczą strukturę nie mogących brać udziału w operacjach eksportowych, w których tak wielką rolę grał kredyt. Przez całą drugą połowę w. XIX zaobserwować można zjawisko powolnej przemiany stosunku cen, uzyskiwanych w eksporcie i na rynku wewnętrznym w W. Brytanji: ceny eksportowe coraz bardziej zbliżają się do osiąganych na rynku wewnętrznym. Był to już skutek pojawiania się w krajach surowcowych konkurencji obcego przemysłu przetwórczego, i co groźniejsze — obcego przemysłu żelaznego i węglowego.

Istotnie: w miarę jak rosły brytyjskie płace, zmniejszanie się swojej konkurencyjności najdotkliwiej odczuwały te przemysły brytyjskie (a odnosi się to równie dobrze do innych krajów uprzywilejowanego europejskiego trójkąta), w których płace stanowiły *gros* kosztów produkcji, a więc przemysł węglowy i żelazny. Drożyzna produkcji węgla i żelaza w W. Brytanji stała się pierwszym powodem szybkiego rozwoju tych przemysłów na kontynencie europejskim; wyliczymy tutaj tylko wzrost produkcji węgla na Śląsku, w Austrii, Hiszpanji, Czechosłowacji i wzrost produkcji żelaza w Szwecji, na Śląsku, w Austrii i w basenie nadreńskim. Wraz z postępującą w W. Brytanji drożyzną produkcji tych dwóch podstawowych surowców w stosunku do kosztów produkcji ich w innych krajach, rosły koszty brytyjskiego przemysłu przetwórczego. A przytem (rzecz ta jest również niesłychanej wagi) — nagromadzenie kapitału w W. Brytanji wywołało zjawisko szybko zmniejszającej się stopy procentowej na rynku brytyjskim, przy wolniej opadającej stopie procentowej na innych rynkach światowych. Zjawisko to

Łatwo tłumaczyć się tem, że pożyczki brytyjskie na rynkach obcych (mówiąc: brytyjskie — mamy również na myśli holenderskie i belgijskie) musiały pokrywać w stopie procentowej ryzyko, związane z inwestycjami zagranicznymi. Skoro jednak różnica między stopą procentową na pożyczki wewnętrzne i zagraniczne osiągnęła pewną wysokość, wylewanie się nadwyżek brytyjskiego dochodu społecznego w postaci rezultatów kapitalizacyjnych stawać się musiało objawem coraz powszechniejszym, przyczem kapitały brytyjskie zaczęły finansować już nietylko produkcję surowców, które później ulegały w W. Brytanji przeróbce, lecz również — i to w pierwszym rzędzie — obcy przemysł przetwórczy, posiadający już w końcu XIX w. poważne dane rozwoju, odkąd podniosła się kultura krajów dotąd surowcowych i odkąd płace, a więc i koszty produkcji, w dotąd uprzywilejowanym trójkącie europejskim zaczęły się podnosić w stosunku do płac na innych rynkach.

3. KONIEC EWOLUCJI XIX W.

Tą drogą naturalna ewolucja wskazywała, że stanowisko uprzywilejowanego trójkąta europejskiego uległo zasadniczej zmianie. Z kraju, posiadającego monopol na produkcję przetwórczą, stał się ten trójkąt krajem wypożyczającym kapitał niemal całemu światu, przyczem ulec musiała likwidacji jego produkcja przetwórcza i produkcja żelaza i węgla, odtąd nie wytrzymująca już konkurencji nowych, przy tańszych kosztach pracujących ośrodków przemysłowych. Ulec też musiał zmianie charakter międzynarodowej wymiany krajów dotąd uprzemysłowionych z krajami dotąd surowcowymi. O ile dotąd, jak to powiedzieliśmy już wyżej, biegły równoległe dwa strumienie: surowców — w jedną i wytworów przemysłowych, oraz pożyczek na rozwój produkcji tych wytworów — w drugą stronę, o tyle w nowych warunkach strumieniem jednym biec musiały towary, drugim kapitały i ludzka siła robocza (problem, którego natężenie po wojnie stało się tak ogromne).

Jeśli dopatrywać się sensu w rozwoju gospodarczym XIX w., to sensem tym było wyrównanie stopy życia ludzkiego w skali światowej. Istotnie: skoro podniesienie się przeciętnej skali życia w krajach uprzywilejowanego przez w. XIX zachodnio-europejskiego trójkąta zniweczyło zdolność konkurencyjną wyrobów przemysłowych tego trójkąta; jeśli te szczególne warunki, jakie trójkąt ten posiadał na początku wieku, niosły już same w sobie swój kres — to działo się to tylko dlatego, że dłuższy rozwój w warunkach szczególnie życzliwych sprowadzał nieuchronnie tak silny rozwój kapitalizacji, tak silną koncentrację na jednym rynku tego kapitału płynnego, że kapitał ten musiał zacząć szukać lokat, umożliwiających mu otrzy-

mywanie wyższego zysku, niż zdołał mu to zapewnić rynek krajowy. Zasilanie kapitałem rodzimym rozwoju obcego przemysłu musiało z kolei prowadzić nieuchronnie do stworzenia, na dotychczasowych rynkach zbytu, konkurencji, której zdolność walki z przemysłem rodzimym wzrastała w miarę tego, jak wzrastała rodzima stopa życia.

Jeśli spojrzeć na sytuację W. Brytanji u schyłku ubiegłego stulecia, a wyraźniej jeszcze w dobie bezpośrednio przedwojennej — odkrywamy w niej silniej już zaakcentowane załazki zjawiska, które André Siegfried w tytule swojej książki, poświęconej problemowi brytyjskiemu, określił jako kryzys brytyjski XX w.: odkrywamy zmniejszający się stale udział W. Brytanji w zaopatrywaniu rynku światowego już nie tylko w węgiel i żelazo, ale również w maszyny i w wyroby włókiennicze, kauczukowe, metalowe. Odkrywamy natomiast stały wzrost znaczenia światowego W. Brytanji, jako kraju eksportującego kapitał; odkrywamy również, w miarę wzrostu jej eksportu kapitałów, stale powiększające się saldo pasywne jej bilansu handlowego — zjawisko typowo schyłkowe dla rozwoju danego kraju, zwłaszcza odkąd przywóz obejmował nie tylko surowce i narzędzia (bo to jest odpowiednikiem rozwoju), ale kiedy w coraz szerszej mierze obejmować zaczynał gotowe wyroby przemysłowe.

W tych okolicznościach warunkiem dalszego utrzymania stopy życia, osiągniętej przez uprzywilejowany trójkąt europejski, była społeczna możliwość przeprowadzenia w jego produkcji przemysłowej likwidacji, zgodnej z koniecznością zmniejszającej się konkurencyjności tego przemysłu i, co za tem idzie — jego zbytu. Ta społeczna możliwość istniała tylko wtedy, o ile istniały warunki dalszego eksportu skupionych na tym trójkącie kapitałów — z jednej strony, z drugiej — o ile istniały warunki eksportu tych sił roboczych, które w kraju traciły pracę.

Tutaj musimy się rozprawić z zarzutem, który w tem miejscu właśnie postawić nam można: że lekceważymy w naszych rozmyślaniach podstawowe zasady funkcjonowania praw gospodarczych w ustroju wolnej konkurencji. Istotnie: jeśli kładliśmy dotąd tak wielki nacisk na zwiększenie się poziomu płac w krajach uprzywilejowanego trójkąta i z tej tendencji płac zbudowaliśmy fundament naszego twierdzenia o koniecznej przemianie struktury państw tego trójkąta z państw, przetwarzających surowce i wywożących je na rynki światowe, na państwa, wywożące kapitały — to zapytałby się trzeba, dlaczego konieczna likwidacja przemysłu w tych państwach, wywołująca zjawisko nadmiaru pracy ludzkiej, nie spowodowała obniżki płac, wyrównywując temsamem znowu warunki konkurencyjne. W odpowiedzi na ten zarzut chcielibyśmy, z jednej strony, wskazać na to, że choć żelazne prawo płac jest w pewnych granicach prawem bezsprzecznie słusznem, to jed-

nak słuszność ta posiada też swoje granice. Prawo to stwierdzało, że płace mają naogół tendencję opadania do poziomu kosztów wyżywienia robotnika, najprymitywniejszego utrzymania go przy życiu. Jednak pojęcie prymitywności pozostaje względne: inne będzie ono w okresie, kiedy Ricardo swoje żelazne prawo płac ustalał, inne zaś w Chinach dzisiejszych, a inne jeszcze w W. Brytanji końca XIX w. Pomijamy już tutaj nawet kwestję tak doniosłą, jak to, że koszty najprymitywniejszego utrzymania w W. Brytanji były pod koniec XIX w. znakomicie wyższe, niż w jakimkolwiek kraju surowcowym; chcielibyśmy natomiast wskazać, z jednej strony, na sztuczne związanie poziomu płac przez związki zawodowe, z drugiej zaś — na to, że ubezpieczenia społeczne nie pozwalały cenie pracy opaść poniżej pewnego poziomu. Skoro przeciętny bezrobotny otrzymywał zasiłek, pozwalający mu na utrzymanie stopy życia, która w niejednym kraju europejskim w odniesieniu do robotnika uchodzić mogła za luksus — to zupełnie naturalne jest, że płace robocze nie mogły spaść poniżej pewnego poziomu, stojącego w pewnym do zasiłków bezrobotnych stosunku.

Po tej dygresji wracamy do postawionego przez siebie twierdzenia, że utrzymanie stopy życia w krajach uprzywilejowanego trójkąta europejskiego było tylko o tyle możliwe, o ile istniały warunki dalszego wywozu kapitałów i wywozu ludzi. Twierdzenie to chcielibyśmy tutaj uzasadnić ogólnie, poczem wprowadzimy szereg niewątpliwie koniecznych jego ograniczeń. Jeśli zaś je stawiamy, to z uwagi na poważne przekształcenia, jakim ulegać zaczął rozdział dochodu społecznego państw uprzywilejowanego trójkąta. Coraz wydatniejszą część tego dochodu pobierały warstwy rozporządzające wolnym kapitałem i wypożyczające ten kapitał rynkom zagranicznym, a coraz mniej poważną — warstwy, zatrudnione bezpośrednio w produkcji. Początkowo odbiło się to przede wszystkim na zyskach przemysłu, bo płace były mniej więcej usztywnione, jeżeli wogóle nie rosły; ale po wojnie zmianę w podziale dochodu społecznego coraz silniej poczęli odczuwać nie tylko przedsiębiorcy przemysłowi, ale również i robotnicy czy pracownicy umysłowi, zatrudnieni w produkcji. Można by tutaj postawić zarzut, że tak się rzecz miała tylko w zakresie podziału wpływów z zagranicy i że w znacznej mierze koncentrujący się w rękach sfer handlowych czy bankowych dochód rozlewał się później szeroką falą po kraju — czy to w postaci zwiększonej konsumpcji tej warstwy, czy też w postaci finansowania przedsiębiorczości rodzimej. W pewnym stopniu tak niewątpliwie było. W bardzo poważnym jednak stopniu część dochodu społecznego, przypadająca warstwom żyjącym z pośrednictwa handlowego, bankowego czy pożyczek emitowanych zagranicą, wychodziła w postaci nowych pożyczek również zagranicę. Tymczasem szerokie warstwy robotnicze i urzęd-

nice, bronione przez związki zawodowe i pobierające coraz znacniejszą porcję dochodu przypadającego przemysłowi wogóle, podnosiły nadal stopę życia. Wprawdzie rozszerzało to znakomicie spożycie krajów uprzywilejowanego trójkąta i dawałoby niewątpliwie również podstawy pod rozwój rodzimego przemysłu, gdyby podnoszenie stopy życia nie przypadało w swej lwiej części na dobro towarów importowanych, tańszych od produkcji rodzimej. W tych warunkach, istotnie, możliwość likwidacji tych gałęzi produkcji, które coraz mniej były rentowne w porównaniu z odpowiednimi gałęziami w industrializujących się krajach dotąd surowcowych, istniała tylko wtedy, gdyby była możliwość wyrównania jej wywozem ludzi — lub rozłożenia dochodu społecznego, koncentrującego się w rękach sfer handlowych i bankowych w sposób bardziej równomierny na całą ludność.

O ile do okresu wojny warunki emigracyjne były dla państw z uprzywilejowanego przez w. XIX trójkąta istotnie korzystne (szerokie możliwości udzielały tak rodzime kolonie, jak i kontynent amerykański, szczególnie w zakresie emigracji brytyjskiej), o tyle problem bardziej równomiernego rozkładu dochodu społecznego natrafiał na bardzo silne utrudnienia: raz dlatego, że wzrastający udział w nim sfer bankierskich i handlowych nie rozlewał się następnie na rynku rodzimym w postaci czy to zwiększonej konsumpcji, czy inwestycji krajowych, powtórze zaś dlatego, że dochód społeczny, uzyskiwany właśnie przez warstwy handlowe i bankierskie, był silnie skoncentrowany i stosunkowo niewiele jednostek z niego korzystało; nietylko dlatego, że koncentracja banków, towarzystw asekuracyjnych, czy przedsiębiorstw handlowych posuwała się szybko, ale również dlatego, że część dochodu tych instytucji, która rozchodziła się po kraju w postaci dywidend, tantiem czy poborów urzędniczych, była zaledwie pewną częścią ogółu zysków tych instytucji, zysków powtórnie na rynkach obcych lokowanych. Było więc rzeczą naturalną, że skoro z krajów wywożących towar państwa uprzywilejowanego trójkąta stawały się krajami coraz bardziej uzależnionymi od importu i coraz więcej wywozącemi kapitały, to temu wywozowi kapitałów winien był odpowiadać również wywóz ludzi. Zachowanie tego warunku przed okresem wojny było jedną z zasadniczych przyczyn, dla których dokonywująca się przebudowa struktury krajów uprzywilejowanego trójkąta odbywała się bez poważnych następstw w dziedzinie socjalnej.

Jeśli więc spojrzymy teraz na tendencję ewolucyjną XIX w., to odkryjemy, że przez ruch długofalowy gospodarstwo światowe zmierzało do wyrównania stopy zysków, stopy płac, stopy procentowej i co za tem idzie — poziomu życia we wszystkich szerokościach geograficznych. Nie inaczej bowiem trzeba patrzeć na przemianę struktury gospodarczej państw uprzy-

wilejowanego trójkąta europejskiego, jak właśnie pod kątem widzenia naturalnej dążności światowego układu gospodarczego do likwidacji wykonywanego przezeń monopolu na produkcję przemysłową — do likwidacji, która posuwałaby się naprzód dopóty, dopóki warunki produkcji w innych szerokościach geograficznych nie wyrównałyby się z warunkami, istniejącymi w państwach uprzywilejowanego trójkąta. Pozwolimy sobie tutaj, by uniemożliwić złą interpretację powyższego twierdzenia, wyglądającego na pierwszy rzut oka na metafizykę — na bliższe sprecyzowanie jego treści.

Jeśli koszty produkcji przemysłowej w państwach uprzywilejowanego trójkąta zachodnio-europejskiego były pod koniec XIX w. znacznie wyższe, niż w innych szerokościach geograficznych, to nie znaczy to bynajmniej, by się one w stosunku do początków tego wieku podniosły w liczbach absolutnych. Wyprodukowanie tony żelaza, pewnej ilości sukna czy takiego lub innego narzędzia „kosztowało“ pod koniec wieku niewątpliwie mniej, niż w jego początkach, „kosztowało“ jednak więcej, niż w industrializujących się krajach dotąd surowcowych. Stąd — tendencja do wyrównania poziomu kosztów przez likwidację zakładów droższych (a droższe były właśnie zakłady, pracujące na obszarze uprzywilejowanego trójkąta). Ta likwidacja połączona była jednocześnie z powstawaniem nowych ośrodków produkcji w krajach, gdzie koszty były mniejsze, co w efekcie końcowym równoważyło zyski z produkcji w skali światowej. Likwidacji produkcji w krajach uprzywilejowanego trójkąta towarzyszyła ekspansja w sferze kredytowej, zmierzająca do nasycenia kapitałem tych rynków, na których można było osiągnąć wyższe, niż na rynku rodzimym, odsetki. Ta tendencja niosła za sobą wyrównanie się poziomowi stopy procentowej w skali światowej. Industrializacja krajów dotąd surowcowych, pociągająca za sobą poważne zmiany w zakresie wielkości i rozdziału dochodu społecznego krajów przemysławiających się, a połączona z ruchem migracyjnym ludności, szukającej miejsc, gdzie praca była poszukiwana — niosła z sobą wyrównanie się poziomu płac w skali światowej, wszystkie zaś wymienione ruchy — wyrównanie skali życia we wszystkich geograficznych punktach świata.

Twierdzeniem tem nie chcemy wywoływać poglądu, jakoby podobne wyrównanie miało nastąpić szybko i odrazu objąć wszystkie rynki świata. Trzeba się bowiem liczyć zarówno z tem, że naturalne warunki stwarzały nowe monopole, jak i z tem również, że nie wszędzie mogła rozwijać się produkcja przemysłowa. Twierdzenie swoje rozumiemy w ten sposób, że produkcja zmierzała do takiego rozłożenia się geograficznego, by ostatecznie ustalić się tam, gdzie naturalne warunki dawały jej najlepsze możliwości. Mogło się to stać po dłuższym okresie, w którego czasie powstać mogły (dzięki szczególnym warunkom, podobnym do tych, które zadecydowały

o stanowisku uprzywilejowanego trójkąta europejskiego w początkach XIX w.) nowe monopole na produkcję przetwórczą; wystarczy wskazać tu na przykład Stanów Zjednoczonych w przededniu wojny światowej. Jednak te nowe monopole w warunkach wolnej gospodarki skazane były na taką samą ewolucję, jak uprzywilejowany trójkąt zachodnio-europejski. Wyrównanie światowej stopy życia było przeto raczej ogólną tendencją, niż celem zupełnie sprecyzowanym — tendencją, stale wyprowadzaną z równowagi przez zmiany pozagospodarcze, takie jak odkrycia i t. p. Im mniejsze następowały zmiany pozagospodarcze tego typu, tem oczywiście szybciej tendencja ta zbliżała układ gospodarstwa światowego do ostatecznego celu: zupełnej jedności rynku światowego.

4. PRZYCZYNY POWOJENNEGO KRYZYSU W ŚWIECIE ROZWOJU GOSPODARSTWA XIX W.

Jak wynika z naszych poprzednich rozważań, istnienie kryzysów gospodarczych o charakterze nie konjunkturalnym, lecz strukturalnym, było nieuniknione w tej mierze, w jakiej likwidacji ulegał pewien monopol gospodarczy w takim sensie, w jakim widzieliśmy go w państwach uprzywilejowanego trójkąta europejskiego w ciągu XIX w.²⁾. Jednak cechą tego kryzysu strukturalnego była, z jednej strony, jego lokalność (w sposób istotny dotyczył on tylko kraje, których monopol ulegał likwidacji), powtórę — jego łagodność. W miejsce likwidującej się produkcji w kraju, który przerosł w sferze stopy życia i bogactwa poziom światowy, powstawała produkcja w krajach tańszych, lub też likwidowała się w krajach o wyższym niż reszta świata poziomie gospodarczym produkcja bardziej pierwotna, mniej technicznie trudna; miejsce jej zajmowała produkcja bardziej specjalna, wymagająca już wytrawnej kultury przemysłowej. Kryzys strukturalny dotyczył przeto jedynie części gospodarstwa kraju, likwidującego swój przemysł — tylko jego warstwy przemysłowe, które znajdowały zatrudnienie w innych częściach świata, gdzie następowała industrializacja potrzebny był wykwalifikowany pracownik i przedsiębiorca.

Wobec takich tendencji pogłębianie kryzysu strukturalnego mogło powstać jedynie następstwo zahamowania wolnego przepływu jednego z elementów gospodarczych: kapitałów — z kraju, likwidującego swój przemysł, do krajów, uprzemysławiających się, pracy ludzkiej — w tym samym kie-

²⁾ Kryzysy konjunkturalne są zawsze nieodłączne od wszelkiej gospodarki nieplanowej, w której jedynie przerost pewnych elementów ponad inne hamuje ich rozwój. Przez twierdzenie to wcale nie chcemy stawiać się apologetami gospodarki planowej, przeciwnie; nie widzimy zupełnie możliwości bardziej precyzyjnego funkcjonowania aparatu gospodarczego, niż w warunkach wolnej konkurencji.

runku i towarów — w kierunku odwrotnym. Po wojnie spotykamy wszystkie trzy postacie wiązania ruchów gospodarczych, łącznie z wiązaniem z innego wymiaru — wiązaniem cen. Problemom tym chcielibyśmy z kolei poświęcić nieco uwagi.

Ogromny koszt wojny obniżył zdolność nabywczą ludności krajów walczących. Zdanie to, aż nazbyt często powtarzane, właściwie rzadko jest rozumiane w sensie gospodarczo słusznym. Siła nabywczą nie oznacza bowiem zdolności spożycia takiej lub innej ilości dóbr — zdolność ta jeszcze w warunkach obecnych jest w ogólności nieograniczona (nieograniczona w tym sensie, że nieograniczony jest zasób potrzeb, które człowiek może jeszcze zaspokoić). O wyczerpaniu się tak rozumianej zdolności nabywczej ludności możnaby mówić dopiero wtedy, gdyby wszyscy ludzie na ziemi osiągnęli stopę życia najbardziej bajecznych miliardów amerykańskich i gdyby każdy człowiek posiadał ponadto zapas wyprodukowanych dóbr, zdolnych zapewnić mu zaspokojenie jego potrzeb w takim właśnie zakresie przez pewną ilość lat. I wówczas jeszcze nikt nie zapewni, że nie powstałyby potrzeby jeszcze nie zaspokojone, potrzeby, dla których zaspokojenia trzeba by produkować nowe dobra — choćby taka np. potrzeba czytania, a więc pisania i drukowania nowych książek, lub wznoszenia nowych teatrów. W sensie przeto fizycznym niema kresu zdolności spożywczej ludności. Istnieje natomiast co innego: istnieje granica, przy której ludzkość może kupować to, co się produkuje, przy pewnej stałej cenie (wypadek ten zachodzić może tylko w razie ustalenia i związania cen) i istnieje granica zdolności spożywczej ludzkości na pewne określone dobra — to znaczy, że dane społeczeństwo może spożyć tylko pewną wartość dóbr przy danym dochodzie społecznym, i może spożyć tylko pewną ilość określonych dóbr: mięsa, pszenicy, węgla. W stosunkach liberalnych nie może być mowy o t. zw. niedostatecznej sile nabywczej ludności. W wypadku, kiedy ludność nie przejawia zdolności spożycia tego, co jej wyprodukują przy danym poziomie cen, to spadają ceny; w wypadku, kiedy może ona spożyć tylko pewną ilość jakiegoś określonego dobra — likwiduje się produkcja tego dobra tak długo, dopóki nie osiągnie poziomu, w którym nie pozostaje stocków.

Po wojnie mieliśmy do czynienia z obiema dysproporcjami. Wycieńczona ludność Europy nie mogła przy danym poziomie cen spożyć tego, co produkowano, oraz nie mogła spożyć całej ilości pewnych dóbr wyprodukowanych. Należy bardzo ostrożnie używać słowa nadprodukcja. Istniała ona i istnieje po dzień dzisiejszy w dwojakim sensie: w tym, że np. zdolność wydobywczą przemysłu węglowego przerasta potrzeby rynku światowego, czyli że konieczna jest tutaj likwidacja, która w warunkach wolno-konkurencyjnych nastąpiłaby przez wyeliminowanie droższych zakładów,—

i w tym, że przy pewnym poziomie cen ludzkość może spożyć tylko pewną wartość. Nadprodukcji fizycznej jakiegoś dobra nie ma tak długo, jak długo istnieje choćby jeden człowiek, który dobrem tem mógłby zaspokoić swoją potrzebę. Twierdzenie, że istnieje obecnie nadprodukcja zboża czy kawy, oznaczałoby więc założenie, że wszyscy ludzie świata są zupełnie syści. Dziesięć minut spaceru po jakimkolwiek mieście dowiodłoby każdemu, kto takie twierdzenie wysuwa, że się poważnie myli.

Jeśli może być mowa o nadprodukcji w latach powojennych, to tylko w tym sensie, że ceny w pewnych krajach na pewne gatunki dóbr zostały w sposób sztuczny związane, oraz że w sposób równie sztuczny została zahamowana likwidacja wytwórczości tych dóbr, których produkcja przerosła potrzeby rynku w danej chwili. Pierwszy problem, o czysto konjunkturalnym znaczeniu, starano się przez dłuższy okres czasu rozwiązać kredytowaniem konsumpcji, to jest umożliwianiem ludności spożywania większej ilości dóbr przy utrzymywanych na pewnym poziomie cenach, dając jej sztuczne możliwości zapłaty tych dóbr. Wyraźnie zaznaczyć należy, że nie było to zwiększanie siły nabywczej ludności, lecz tylko umożliwianie jej spożycia tego, co jej wyprodukowano, po wyższych cenach od tych, jakie była w stanie płacić.

Drugi problem miał znaczenie strukturalne: sztucznie utrzymywano produkcję dóbr, których ilość przekraczała potrzeby rynku światowego, Wiąże się on niezmiernie ściśle z naszymi uwagami z poprzednich paragrafów. Wydaje się jednak, że niemożliwe jest rozpatrywanie tego drugiego problemu bez powiązania go z problemem cen, oba bowiem przez czas dłuższy tworzyły gospodarczą rzeczywistość, w której trudno było nieraz rozpoznać, czy mamy do czynienia ze zjawiskiem wywołanem wiazaniem gospodarstwa w jednym czy w drugim kierunku.

W okresie wojny siła nabywcza ludności krajów wojujących spadła. Oznacza to, że ludność mogła spożyć tę samą co przed wojną ilość dóbr tylko przy założeniu obniżonych cen. Tymczasem ceny utrzymywano na poziomie wyższym od przedwojennego, a zdolność produkcyjna prawie we wszystkich dziedzinach znakomicie się podniosła. Produkcja zwiększyła się, ceny wzrosły, ale bogactwo krajów europejskich zmalało. Zmalało przede wszystkim dlatego, że wojna wymiotła z większości krajów europejskich (przede wszystkim zaś z Niemiec i Austro-Węgier) zapasy kapitałów. W tych warunkach były dwie możliwości gospodarczego rozwiązania problemu: sfinansowanie odbudowy gospodarczej krajów zniszczonych — o ile odbudowa produkcji w tych krajach dawała widoki produkcji na warunkach konkurencyjnych, albo też pozostawienie sprawy jej własnemu biegowi, pozwienie siłom gospodarczym na unormowanie ich, t. zn. na wprowadzenie ja-

kiejś ostatecznej równowagi. By siły te mogły działać, musiała istnieć solidna podstawa w stosunkach monetarnych i kapitałowych oraz wolność międzynarodowych obrotów kapitałami i towarem, wolność ruchów migracyjnych, wreszcie — wolność kształtowania się poziomu cen.

Tymczasem w latach powojennych nastąpiły objawy inne. Pożyczki, zaciągnięte przez rządy na poczet wojny, były w wielu krajach europejskich bezpośrednim powodem inflacji, która ostatecznie zmiotła z połowy Europy istniejące jeszcze kapitały obrotowe. Lata inflacji z natury rzeczy stały się okresem silnie wzmożonych inwestycji. Stabilizacja walut kontynentalno-europejskich wprawdzie zahamowała ten kilkoletni prąd nadmiernych inwestycji, lecz także zniosła bodziec do konsumpcji równie wielkiej, jak w latach inflacji. Jeśli konsumpcja miała pozostać na tym samym poziomie, co w okresie inflacji — konieczny stawał się spadek cen, któryby dostosował wartość produkcji do dochodu szerokiej masy spożywców. Tymczasem (szczególnie w okresie inflacji i szczególnie w krajach kontynentalno-europejskich) doszło do niesłychanie silnego procesu koncentracyjnego w przemyśle i do utworzenia w najważniejszych gałęziach produkcji potężnych karteli i trustów, stabilizujących ceny na najważniejsze surowce przemysłowe na poziomie znakomicie przewyższającym poziom, który mógłby się ustalić w warunkach normalnych. Spłata reparacji pociągnęła za sobą w państwach zwyciężonych i dłużniczych wobec Stanów Zjednoczonych konieczność wzmożonej produkcji, podczas gdy kraje wierzycielskie (a więc przede wszystkim te, które już przed wojną wykazywały naturalne tendencje likwidowania własnego przemysłu przetwórczego, a jeszcze bardziej surowcowego): W. Brytanja, Francja, w pewnej mierze Belgja — nie znajdowały w niepewnych warunkach ówczesnych możliwości lokowania swoich kapitałów zagranicą, w krajach dłużniczych. Nie mogąc ciągnąć zysków z nagromadzonych u siebie kapitałów, a chcąc utrzymać osiągniętą stopę życia — kraje te z natury rzeczy starały się przywrócić własnemu przemysłowi możliwości rozwoju, przede wszystkim na rynku rodzimym, a wobec zmniejszających się wpływów z innych pozycji bilansu płatniczego, zmierzały do zmniejszenia ujemnego salda bilansu handlowego. Dlatego właśnie otaczały się coraz wyższym murem ochronnym.

Zagadnienie reparacji i długów wojennych spotyka się niejednokrotnie z bardzo niesłuszną oceną. Jeśli Niemcy musiały W. Brytanji czy Francji płacić przez szereg lat długi z tytułu reparacji, to bilans płatniczy tych krajów nie ulegał przez to poważniejszej poprawie, gdyż równe sumy musiały one spłacać Stanom Zjednoczonym. Błąd w systemie wymiany leżał wyłącznie w tem, że Stany, nie doszedłszy jeszcze do punktu, w którym ich produkcja, dzięki podnoszeniu się stopy życia, zaczynała ulegać likwidacji

(jak to działo się już przed wojną z krajami uprzywilejowanego przez w. XIX europejskiego trójkąta przemysłowego), stawały się już krajem wierzytelskim. Narażamy się tu na zarzut stawiania sprzecznych ze sobą twierdzeń, ale wydaje się nam, że sprzeczność ta stanowi jedynie złudzenie. Monopol na produkcję przemysłową, który uzyskały Stany Zjednoczone w okresie wojny, oparty był o szerszą podstawę, niż ten, który wykonywały kraje przemysłowe zachodnio-północnej Europy w ciągu XIX w. Niezmierne bogactwo surowca i możliwość rozwinięcia produkcji w skali masowej sprawiły, że Stany Zjednoczone, posiadając nawet znacznie wyższy poziom życia od innych części świata, mogły produkować przy niższych jeszcze niż gdzieindziej kosztach produkcji. Patrząc na te sprawy z perspektywy doświadczeń ub. stulecia, dochodzi się do przekonania, że monopol, wykonywany przez Stany Zjednoczone (a później przez nie same w znacznej części podcięty), musiał wywołać głębokie zaburzenia, podczas gdy monopol wykonywany przez kraje trójkąta europejskiego zaburzeń tych w w. XIX nie wywoływał. Rzecz bowiem polegała na tem, że o ile kraje uprzywilejowanego trójkąta wykonywały monopol przedewszystkiem w stosunku do wyrobów przemysłu przetwórczego, potem zaś tylko w stosunku do dwóch surowców — węgla i żelaza, — o tyle Stany Zjednoczone skupiły u siebie monopol na wszystkie niemal ważniejsze surowce. Kraje trójkąta europejskiego w ciągu w. XIX przywoziły wielkie ilości surowców wzamian za swe fabrykaty wywożone; natomiast Stany Zjednoczone stanowiły rynek niemal w każdym zakresie nie tylko samowystarczalny, ale posiadający ponadto znaczne nadwyżki wywozowe. Produkcja ich, mimo wysokiego poziomu życia w kraju, była dzięki swej masowości, bliskości surowca i organizacji technicznej ciągle jeszcze natyle od produkcji w innych krajach tańsza, że nie istniała w Stanach podnieta do wywożenia kapitałów i lokowania ich w produkcji gdzieindziej. Kredyty produkcyjne, stanowiące istotę rozwoju gospodarczego XIX w. i udzielane przez uprzywilejowane kraje trójkąta europejskiego krajom surowcowym, nie miały sensu dla Stanów Zjednoczonych. Kapitały te bowiem, z natury rzeczy, szukały zyskownych lokat; o ile przemysłowe kraje Europy znajdowały je w ciągu XIX w. w krajach surowcowych, o tyle w okresie powojennym najzyskowniejszą lokatą dla kapitału amerykańskiego był sam rynek amerykański.

Czy wobec tego nie było rzeczywiście innego wyjścia, niż kredytowanie konsumpcji światowej własnych wytworów przez własny kapitał — jak to uczyniły Stany Zjednoczone w latach powojennych? Wydaje się, że rozwiązanie tego problemu istniało przedewszystkiem w dziedzinie demograficznej. Ruch ludności w kierunku do Stanów — w miarę likwidowania się przemysłu, nie wytrzymującego już konkurencji ze Stanami — byłby zna-

komicie zmniejszył ciężar przystosowania się do nowego monopolu. W postaci przekazów emigranckich byłby on dał lepszą podstawę pod spożycie amerykańskich wyrobów w innych częściach świata, niż kredytowanie konsumpcji. Ruch ten został jednak przez same Stany wstrzymany; odtąd były one samowystarczalne w zakresie wszystkich towarów, kapitałów, a nawet ludzkiej pracy. Posiadały one ponadto nadwyżki wywozowe.

Powtóre: monopol, wykonywany przez Stany Zjednoczone, nie był geograficznie nieograniczony. Prawdą jest, że mało było punktów kuli ziemskiej, gdzie wyprodukowanie samochodu, maszyny do szycia, kwintala zboża lub tony cukru kosztowało mniej dolarów czy centów, niż w Stanach Zjednoczonych; ale też warunki transportowe ograniczały rynek zbytu na szereg artykułów amerykańskich, przede wszystkim surowców — powtóre zaś: taniość produkcji amerykańskiej była w wielkim stopniu skutkiem masowej produkcji i organizacji pracy. W samej Europie powojennej zwiększenie zdolności przepustowej głównych arterij komunikacyjnych, zbliżenie producenta do rynku zbytu przez dostosowanie warunków transportowych i kredytowych do odpowiednich warunków amerykańskich, byłoby bezwątpienia umożliwiło szeregowi krajów rolniczych korzystanie z cen znacznie wyższych, niż posiadały w okresie powojennym (mówię tutaj o cenach, po których kraje te eksportowały, gdyż ceny wewnętrzne na poszczególnych rynkach układały się zależnie od konsekwencji, z jaką stosowało się czy to premie eksportowe, czy interwencję wewnętrzną). Innemi słowy, uprzywilejowanie Stanów Zjednoczonych było w znacznym stopniu wynikiem problemów organizacyjnych.

Spotkamy się tu może z zarzutem, że nie uwzględniamy ruchu kapitałów, sprzyjającego rozwojowi produkcji w Stanach Zjednoczonych, niemal uniemożliwiającego ten rozwój w krajach europejskich, szczególnie rolniczych. Istotnie — zgodzimy się z tem, że spłata długu wojennego wywołała w Stanach zjawisko niezwykle obfitego i taniego kapitału, ale też działała ona inflacyjnie na ceny dolarowe, rosnące nieproporcjonalnie szybciej, niż w innych częściach świata. To inflacyjne działanie spłat długu wojennego na ceny amerykańskie jedynie częściowo było łagodzone przez naturalne warunki, dające Stanom Zjednoczonym wielkie przywileje w dziedzinie taniości surowców, posiadanych w wielkiej obfitości na miejscu produkcji, a więc nie opłacających kosztów przewozu. Poza tem — jeśli przyjrzeć się uważnie rozwojowi stosunków monetarnych od 1924 r., a więc od chwili, kiedy mniej więcej wszystkie waluty europejskie były już ustabilizowane — dostrzeżemy we wszystkich krajach europejskich ucieczkę kapitałów na rynek londyński, paryski, szwajcarski lub amerykański. Kapitały owe z rynków tych nie wracały — przechowywane były jako depozyty bankowe, szczególnie nie-

bezpieczne dla rynków, na które uciekały, w wypadku jakiegokolwiek załamania się zaufania do funta, franka francuskiego czy szwajcarskiego. Od wpływ kapitałów (z jednego tylko powodu: braku zaufania — bo dawno już nie było na rynku europejskim tak korzystnych lokat dla banków angielskich, francuskich, włoskich czy szwajcarskich, jak w latach 1924 — 1929) z krajów uprzywilejowanego przez w. XIX trójkąta do krajów europejskich był w latach powojennych znikomy. Zjawisko to przypomina nieco błędne koło. Zaangażowanie się kapitałów brytyjskich, francuskich, szwajcarskich czy holenderskich w produkcji środkowo- i wschodnio-europejskiej — szczególnie w zakresie inwestycji komunikacyjnych i kredytów handlowych, umożliwiających np. udzielanie kredytów warrantowych rolnikom za złożone do silosów zboże etc. — poprawiłoby bezwątpienia sytuację krajów wschodnio-europejskich, lub też umożliwiłoby im rozwój produkcji przemysłowej w takim zakresie, w jakim pozwalały na to warunki konkurencyjne z przemysłem zachodnio-europejskim i amerykańskim. Zaangażowaniu się temu przeszkadzała jednak niepewna sytuacja polityczna i ogólny brak zaufania do stałości istniejących stosunków gospodarczych; ten brak zaufania datuje się od czasu, gdy coraz poważniejszy wpływ na zjawiska gospodarcze poczęły wywierać postanowienia rządów, czy polityka takich lub innych karteli. Rynek brytyjski, francuski, szwajcarski czy holenderski dusił się od nadmiaru kapitałów, nie dających się korzystnie ulokować, podczas gdy na wschodnio- i środkowoeuropejskich rynkach stopa procentowa kształtowała się stale na poziomie wyższym niż 8% w stosunku rocznym, nawet przy długoterminowym kredycie rolniczym, a była tak niska jedynie dzięki reglamentacji wewnętrznej w poszczególnych państwach; bez tej reglamentacji osiągnęłaby poziom jeszcze wyższy. Dość wskazać na przykład Polski, której organizm gospodarczy jest zdrowszy i obfitość kapitału większa, niż w innych krajach środkowo-europejskich — gdzie jednak zwolnienie reglamentacji stopy procentowej dałoby bezwątpienia (sądząc po rentowności papierów wartościowych przed konwersją) poziom niedaleki od 18% w stosunku rocznym.

Reasumujemy: monopol wykonywany przez Stany Zjednoczone byłby daleko mniej zupełny, a co za tem idzie — jego skutki o wiele mniej poważne dla reszty rynków światowych, gdyby w Europie istniały spokojniejsze warunki, umożliwiające zgromadzonemu w krajach dawnego uprzywilejowanego trójkąta zapasom kapitałów zaangażowanie się w produkcję w Europie Środkowej i Wschodniej. Brak tych warunków, przy jednoczesnej ucieczce kapitałów z tych części Europy na centra bankowe brytyjskie, francuskie, holenderskie i szwajcarskie, stworzył na zachodzie Europy zjawisko niskiej rentowności kapitału. Pociągnęło ono za sobą zjawisko drugie: niemożność utrzymania z zysków od wypożyczonych zagranicę kapitałów wysokiego,

osiągniętego przez w. XIX, poziomu życia na zachodzie Europy, a co za tem idzie — konieczność hamowania naturalnych ruchów likwidacyjnych w produkcji, a więc aktywowania bilansu handlowego. Ta tendencja, oczywiście, pogłębiała tylko istniejące trudności.

Chcielibyśmy tutaj wskazać na jeden jeszcze fakt. Stosunki kredytowe w Europie powojennej, zwłaszcza ogromny brak zaufania w stosunku do krajów środkowo- i wschodnio-europejskich, wywołały nadmierne gromadzenie się niezatrudnionych kapitałów w centrach bankowych zachodnio-europejskich, ale także zjawisko finansowania produkcji nie tam, gdzie produkcja ta była stosunkowo najtańsza, lecz tam, gdzie lokata kapitału była stosunkowo najpewniejsza. Ogromny rozwój produkcji rolnej w Kanadzie, Argentynie, Australji nie był wynikiem tańszych kosztów produkcji; przeciwnie: wielkość inwestycji koniecznych (budowa dróg, silosów, portów), wielkość kapitału, który zaangażować należało w obrotowych kredytach przedsiębiorstw handlowych poto, by umożliwić wymienionym krajom dowieżenie do Europy zboża czy produktów hodowli bez strat, po cenach równych tym, po jakich mógł dostarczać producent polski, rumuński, węgierski czy jugosłowiański — była niewspółmiernie wielka. Za podobną cenę można było w krajach wschodniej Europy osiągnąć wyniki niewątpliwie lepsze, można było koszty produkcji i dostawy na rynki zachodnio-europejskie obniżyć o bardzo poważny odsetek kosztów dzisiejszych. Jeśli mimo tego kapitały angielskie finansowały produkcję rolną Kanady, Argentyny, Australji, czy Nowej Zelandji, to działo się tak dlatego, że kapitały te miały do owych krajów zaufanie, nie posiadały go zaś w stosunku do krajów europejskich. Taki stan rzeczy przyspieszył niewątpliwie zjawisko upadku znaczenia kontynentu europejskiego, jako światowego producenta nie tylko towarów przemysłowych, ale i rolniczych.

5. K O N K L U Z J E.

Wydaje mi się, że po szczegółowych wywodach poprzednich paragrafów czas przystąpić do syntezy. Synteza ta będzie jednocześnie i diagnozą, wskazującą możliwości terapii.

W wyniku dotychczasowych rozważań staje się jasne, że — pomijając konjunkturalne wahania dookoła równowagi — rynek światowy wykazuje również pewne wahania strukturalne. O ile tendencją ogólną jest wyrównywanie warunków gospodarczych (poziomu cen, kosztów, stopy procentowej) i jako wynik tego — wyrównanie poziomu życia, — o tyle szczególny bieg wydarzeń ciągle wysuwa na pierwszy plan pewne tereny geograficzne, posiadające w danej chwili lepsze warunki produkcji. Tereny te rozwijają produkcję szybciej od innych, niejednokrotnie monopolizują na niewielkim od-

cinku geograficznym produkcję o wartości znacznie wyższej, niż wartość produkcji jakiegokolwiek innego, odpowiednio obszernego czy wąskiego terenu. W ciągu w. XIX takim terenem uprzywilejowanym przez okoliczności był trójkąt, obejmujący W. Brytanię, Belgię, północną Francję, Holandję i część Niemiec. Takim terenem po wojnie stały się Stany Zjednoczone, a ostatnio Japonja. Jednak przy istnieniu wolnej międzynarodowej wymiany towarowej i przy braku czynników, przeszkadzających swobodnemu ruchowi kapitałów i swobodnej migracji ludzi, uprzywilejowane odcinki geograficzne podnoszą szybko swą stopę życia, dochodzą do pewnego nasycenia kapitałem, po którym kapitały mają tendencję uciekania do terenów bardziej pierwotnych, gdzie płace robocze są niższe, a stopa procentowa wyższa. Państwa, centralizujące produkcję przeróbczą, dochodzą do pewnego zenitu jako państwa przemysłowe, poczem ich produkcja przemysłowa ulegać zaczyna likwidacji — aż do chwili, kiedy warunki produkcji w tych państwach znowu osiągną poziom równy poziomowi najkorzystniej pracujących konkurentów. W okresie przystosowawczym likwidacji ulega przemysł tych państw, natomiast szczególnie silnie rozwija się eksport kapitałów. Państwa przemysłowe stają się państwami wierzycielskimi — aż do chwili, kiedy nasycenie kapitałem rynku rodzimego nie osiągnie poziomu nasycenia kapitałem rynków, na które wywoziło się dotąd kapitał. W ten sposób, poprzez szereg wysuniętych przez przypadek uprzywilejowanych sytuacji pewnych części rynku światowego, światowy układ gospodarczy zdąża do osiągnięcia równowagi — do ostatecznego wyrównania się warunków gospodarczych w skali światowej.

Warunkiem podobnego rozwoju jest wolność przepływu kapitałów i wolność migracji, oraz swoboda ruchu towarów. Zatrzymanie tych wolnych ruchów stało się istotnym powodem wstrzymania ruchu likwidacji w państwach przemysłowych, które osiągnęły już swój kulminacyjny punkt dojrzałości, a jednocześnie wykoszlawienia ruchu rozwoju produkcji w tych krajach, które ze względu na swoje warunki były szczególnie uzdolnione do objęcia przez siebie spadku po likwidującej się produkcji krajów dojrzałych. Wstrzymanie tych ruchów, rozbijając światowy układ gospodarczy na szereg drobnych, zamkniętych układów, zmusza obecnie wewnątrz poszczególnych rynków do stosowania środków, pozwalających na życie w kręgu zamkniętym — niezależnie od życia innych zamkniętych rynków. Jednak łączy się z tem fakt wagi niezmiernie doniosłej — postępująca przebudowa świata, przy której marnują się ogromne, nie znajdujące zbytu zapasy kapitałów jednych krajów, marnuje się dorobek gospodarczy wielu lat w postaci niepotrzebnych likwidacyj, połączonych z niepotrzebnym i gospodarczo nieuzasadnionym procesem inwestycyj w innych krajach.

Jeśli z takiej diagnozy można wyciągnąć jakikolwiek wniosek praktyczny, to będzie nim niewątpliwie ten, że ratunek przed postępującym procesem rozdrabniania się rynku światowego leży przede wszystkim w wyzwoleniu dwóch gospodarczych wielkości: ruchu kapitałów — od zmory niepewności i ruchu migracyjnego — od zakazów. Pierwszy postulat wymaga pewnego ryzyka ze strony państw wierzycielskich, drugi — pewnych ofiar ze strony państw obecnie dłużniczych, które wzamian za przyływ obcego kapitału byłyby zdolne do zwiększenia zarówno rodzimej konsumpcji, jak i rodzimej produkcji w granicach, usprawiedliwionych własnymi warunkami gospodarczymi.

LUDWIK FRYDE

„N O C E I D N I E”

SZTUKA OPOWIADANIA

Entuzjazm, z jakim przyjmowano pierwsze tomy *Nocy i dni*, tłumaczy się również i tem, że powieść ta wskrzesza zapomniane i zagubione tradycje sztuki narracyjnej. Wbrew panującym sugestjom i modom, jak reportaż, psychoanaliza, „czysta forma” w prozie, Dąbrowska w swej tetralogji świadomie i konsekwentnie stosuje tradycyjną formę epickiej narracji. *Noce i dni* stanowią nawrót do starych mistrzów sztuki opowiadania, Kraszewskiego, Jeża, Prusa i Orzeszkowej, a więc do pisarzy, których wzrastająca dzisiaj poczytność jest znamiennym objawem ewolucji gustów literackich.

Mówiąc o sztuce opowiadania, kładziemy akcent na pierwszym literalnem znaczeniu wyrazu „opowiadanie”. Prawdziwy epik, w równej mierze Homer co współczesny powieściopisarz, jest narratorem, snującym swą rzecz wobec mniej lub więcej licznego grona słuchaczy. Z tej zasadniczej sytuacji życiowej wywodzą się główne właściwości, znamionujące formę dzieła epickiego.

Narrator już przed rozpoczęciem opowiadania zna jego całkowity przebieg i zakończenie, a zatem historia, którą rozwija przed słuchaczami, musi należeć do bliższej lub dalszej przeszłości. Ta okoliczność ma pierwszorzędne znaczenie dla postawy epickiej. Epik ujmuje przedmiot swego opowiadania jako fragment życia zamknięty i skończony, rysujący się przed nim w pewnej odległości i w perspektywie minionych lat. Pod tym względem *Noce i dni* mogą uchodzić za klasyczny przykład i wzór prozy narracyjnej. Przedmiot opowiadania w *Nocach i dniach* leży całkowicie w przeszłości, jeszcze żywej w pamięci i w ustnej tradycji, lecz bezpowrotnie minionej w rzeczywistości. Taki stosunek od tematu zmusza pisarza do rezygnacji z efektownych zwrotów, zaskoczeń, katastrof, znamionujących formę dramatyczną, ale daje mu

zato pełną władzę nad tematem, nieograniczoną swobodę w kształtowaniu i rozwijaniu opowiadanej historii.

Inną właściwością, wynikającą z sytuacji życiowej epika - narratora, jest ujmowanie przedmiotu narracji jako jednolitej całości. W ciągłym i płynnym toku opowieści tylko na chwilę wyłaniają się poszczególne epizody, prawie nigdy nie urastając do roli samodzielnych scen dramatycznych; autorka kreśli je fragmentarycznie, urywkowo, roztopia je niejako w ogólnym biegu opowiadania. Ani dialog, ani opis nie stanowią wyodrębniających się punktów kulminacyjnych; Dąbrowska nie rozwija dialogów w szerokie sceny, krajobrazy zaś zastępuje suchym szkicem układu topograficznego. Powieść nasza nie posuwa się od sytuacji do sytuacji, jak dramat; autorka zgodnie z duchem sztuki narracyjnej posiłkuje się dygresją, luźnym skojarzeniem, jedne momenty rozwija szerzej, inne opuszcza, osiągając doskonałą jednolitość i płynność toku epickiego, co stanowi jeden z największych uroków *Nocy i dni*.

W oczach narratorki wszystkie epizody w historii rodu Niechciców są równouprawnione: każdy moment przełamuje w sobie jak kryształ wieczne prawa życia i przez to jest ważny, i żaden moment nie ostaje się przemocy toczącego się czasu i dlatego nie może rościć pretensyj do praw wyjątkowych. Każdy szczegół życia ma wzniosły sens i zarazem — wzniosły komizm rzeczy błahej i przemijającej. W tem spojrzeniu na rzeczywistość wyraża się humor tak znamieny dla Dąbrowskiej i w ogólności dla epika. Oto charakterystyczny przykład, pokazujący jak w oczach autorki rzeczy wielkie wiążą się nierozzerwalnie z małemi, dopiero w sumie dając całą prawdę. „Ja kocham — zawołał (Katelba), aż kawki zerwały się z kłaskającym wrzaskiem z pośród gałęzi. — Kocham! — I nagle podskoczył sobie trochę“ (t. III, cz. 1, str. 90).

Przeczytajmy opis lata. „A lato było tego roku w istocie nadzwyczajne. Słońce od wschodu do zachodu jaśniało na nieskalanem niebie, od paru tygodni najłżejszy wiatr nie poruszał listowiem. Gorące ciche dnie i gorące ciche noce zdawały się nie toczyć, a trwać nieruchomo nad Serbinowem. Woda w stawach opadła, ptaki zamilkły, świerszcze tylko dźwięczały bez przerwy a ludzie bronzowieli od słońca. Wszyscy wiedzieli, kładąc się spać, że naza jutrz i codzień powita ich ten sam błękit osłepiający, ten sam upał i blask“ (III, 1, str. 402). Ten opis nie jest zwykłym literackim pejzażem, tu autorka podjęła zwyczajny trud ujęcia rzeczywistości w jej trwałych i stałych formach. Ujawnia się w tem podstawowa zdolność i kwalifikacja epika, którą niemiecki teoretyk ujmuje w trudną do przetłumaczenia, piękną formułę: „das Gefühl für die Dauer“.

Zwracając uwagę na stałe i trwałe formy życia, Dąbrowska podkreśla te momenty w historii Niechciców, które jako najbardziej zwyczajne wielokrotnie się powtarzają. Oto charakterystyczne przykłady: „Najczęściej wy-

wołował gorzkie narzekania w rodzaju: „—Tomaszek nie kłam! Nie psoć! Nie rób na złość! Gdzie jesteś? Coś popsuł“, lub „Synu — *powtarzała* tylko — synu jedyny. Będziesz dobry? Będziesz człowiekiem?“, albo „Pani Barbara często tego lata podnosiła w rozmowie sprawę placów“ (II, str. 4, 5 i 318; podkreślenia nasze). To samo „odczucie trwania rzeczy“ wyjaśnia inną tajemnicę warsztatu artystycznego Dąbrowskiej. Rzadko pojawia się w powieści forma „rzekł“ lub „powiedział“, często natomiast występuje „mówił“ lub nawet „mawiał“. Autorka uprzywilejowuje formę częstotliwą, podkreślając przez nią zwyczajność i powtarzalność opowiadanych zdarzeń. Jest to drobiazg, ale drobiazg unaoczniający kierunek woli artystycznej i jej niezłomną konsekwencję.

Wszystkie te sposoby i środki epiki narracyjnej wywołują swoisty typ przeżyć estetycznych. Przy czytaniu *Nocy i dni* jesteśmy w zupełnie innej sytuacji niż widz w teatrze, który otrzymuje szereg plastycznych sytuacji i ma iluzję bezpośredniego obcowania z ukazanym fragmentem życia. Powieść Dąbrowskiej jako utwór epicki nie dąży do tego swoście dramatycznego obiektywizmu. Przy czytaniu *Nocy i dni* mamy niezachwianą świadomość istnienia narratorki, która rozstrzuwa przed nami historię rodu Niechciców. Narratorka nie wysuwa się na czoło, zachowuje ścisły dystans względem opowiadanych faktów; drobnym i symbolicznym przykładem tego dystansu jest stałe nazywanie głównej bohaterki, właściwego medjum poprzez które doświadczamy większej części opisywanych zdarzeń — „*panią* Barbarą“.

Rozwiązany w dziele Dąbrowskiej problem epickiej narracji i jej swoistych praw jest od wielu lat zasadniczym problemem niemieckiej teorii literatury. W wyniku długich i żmudnych wysiłków teoretycy niemieccy dokonali ścisłego rozgraniczenia między opowiadaniem i dramatem¹⁾. W ten sposób przewyciężone zostały tradycyjne poglądy Spielhagena, który w swych studjach nad powieścią i w praktyce pisarskiej narzucił prozie artystycznej technikę dramatu. Ten długoletni spór ma znaczenie nie tylko teoretyczne, ale i historyczno - literackie; doprowadził on do postulatów normatywnych, w imię których Robert Petsch dokonał generalnego przewartościowania niemieckiej produkcji beletrystycznej ostatnich lat.

Na tle tego historycznego sporu dzieło Dąbrowskiej ukazuje się jako niezbity dowód słuszności i prawdy postulatów t. zw. czystej sztuki narracyjnej. Wspomnieć tu trzeba, że dokładnym odpowiednikiem scharakteryzowanej kontrowersji niemieckich krytyków są, z jednej strony, zarzuty, postawione *Nocom i dniom* przez L. Pomirowskiego, wielbiciela dramatycznej i dyna-

¹⁾ Por. zwłaszcza studjum Ericha Evertha „Die Kunst der Erzählung“ (Zeitschrift für Aesthetik u. allgemeine Kunstwissenschaft, XVI, 1925) oraz książkę Roberta Petscha „Wesen und Formen der Erzählkunst“ (Halle, 1934).

micznej sztuki Kadena, z drugiej — entuzjastyczny głos K. W. Zawodzińskiego, wskazującego na doniosłe i przełomowe znaczenie epickiego realizmu naszej powieści.

W świetle scharakteryzowanej „autonomicznej“ techniki sztuki narracyjnej, przewyciężającej narzucony zzewnątrz przymus bezwzględnej obiektywizmu, wyjaśnia się jeszcze jedno szczególne znamię dzieła Dąbrowskiej. Oto autorka mimo ścisłego dystansu co pewien czas bezpośrednio wypowiada swoje sądy, opinie i oceny w postaci nieosobowych formułek, aforyzmów, stanowiących jedną z bardziej charakterystycznych osobliwości formalnych *Nocy i dni*. Aforyzmy te spotkały się z zastrzeżeniami krytyki, nie tyle dla swej merytorycznej zawartości, ile ze względów estetycznych. A przecież stanowią one pierwszorzędny środek techniki artystycznej. Formułują one poznawczy i moralny sens każdego epizodu, każdego etapu powieści, dają to co krytyk niemiecki (H. Franck) nazywa „narracyjnym tłumaczeniem życia“ i wyjaśniając ogólne znaczenie opisywanych prywatnych losów i przeżyć, jakgdyby usprawiedliwiają artyzm. Z tego ostatniego względu są znamennym wyrazem surowej, niemal ascetycznej względem siebie, postawy duchowej autorki.

Ponadto zaś, ukazując czytelnikowi ogólne znaczenie opowiedzianych losów i przeżyć, uczą owe aforyzmy głębszego spojrzenia na życie, uczą także określonego stanowiska moralnego, które można przyjąć lub odrzucić, a w każdym razie trzeba dobrze sobie uświadomić i przemyśleć. Z tego punktu widzenia *Noce i dnie* okazują się utworem dydaktycznym, co o tyle powinno być niespodzianką, że dydaktyzm stanowi prawie nieodłączną cechę epiki.

WIEDZA O ŻYCIU

Aforyzmy Dąbrowskiej służą przedewszystkiem do tego, aby wyjaśnić opowiedziane w powieści czyny i działania ludzkie, aby wydobyć najaw ich głębsze przyczyny i sens. Oto charakterystyczny, typowy przykład: „Anka zresztą, choć jej łzy ciekły z oczu, też w gruncie rwała się do życia w Warszawie, gdyż rwać się od życia do życia jest codziennym losem człowieka“ (II, str. 42). Przykład ten wskazuje równocześnie na bardzo swoisty kierunek tego aforystycznego wyjaśniania czynów. W *Nocach i dniach* odruchy, uczucia, postęпки bohaterów tłumaczą się nie tyle indywidualną strukturą psychiczną postaci działających, nie tyle indywidualnym charakterem, ile raczej jakimś wspólnym, powszechnym, ogólnoludzkim źródłem czucia i działania, do którego sprowadza je autorka.

Dlatego nieraz spotykamy w toku opowiadania w *Nocach i dniach* uogólnienia w rodzaju: „Przed rozstaniem *każdy* stara się być w surowym

porządku wobec tych, z którymi się żegna“ (II, str. 41, podkr. nasze). W tem zdaniu jak we wszystkich rozszaniach w powieści aforyzmach Dąbrowska do-
bywa najaw drzemającą w każdym przedstawicielu ludzkiego rodzaju nie-
zmienną część człowieczeństwa. Uznając realne istnienie tej zawsze aktual-
nej i wiekuiestej, codziennej i absolutnej części natury ludzkiej, ukazując ją
na dnie każdego działania, każdego postępku człowieka, udowadnia autor-
ka głęboką rację zagrożonego humanizmu, który w jej ujęciu z abstrakcyj-
nego, papierowego postulatu moralistów staje się prawdą, rzeczywistym fak-
tem życia.

Czasem takie sprowadzenie do człowieczeństwa ma na celu obronę po-
staci, usprawiedliwienie jej przed możliwymi zarzutami. Tak np. nieraz pod-
czas czytania *Nocy i dni* skłonni jesteśmy gniewać się lub oburzać lub nawet
potępiać panią Barbarę Niechcicową, ale oto autorka ukazuje nam grzechy
i słabości tej bohaterki jako nasze grzechy, jako ludzkie arcyłudzkie słabości.
Pewnego razu pani Barbara, pogrążona w smutnych rozmyślaniach gubi się
w splątanych myślach, bo też „skąd biedny człowiek ma wiedzieć, co jest przy-
czyną, co skutkiem, czy źle mu dlatego, że chory, czy chory dlatego, że źle
mu na świecie...” (II, str. 51). Ten „biedny człowiek“ pojawia się często
w aforyzmach Dąbrowskiej, wyrażając symbolicznie jej humanitaryzm,
współczucie i wyrozumiałość dla niedoskonałego człowieka.

Kiedyindziej jednak Dąbrowska nie usprawiedliwia, nie rozgrzesza,
lecz formułuje surowe prawdy, ukazując nam te strony naszej natury, które
radziłyśmy ukryć przed samymi sobą. Np. „jak zwykle bywa, gdy nas
w czem własne siły i środki zawiodą, całą nadzieję pokładała w zmianie ze-
wnętrznym warunków“ (III, 1, str. 241) lub „Jesteśmy sami skłonni mówić
różne złe rzeczy o ludziach i przypisywać im wszelakie nieprawości. Ale nie-
opisane przerażenie ogarnia nas, gdy się dowiemy, że oni mówią o nas tak
samo“ (III, str. 113). W tych zdaniach w formie chłodnych stwierdzeń za-
wierają się ukryte postulaty i nakazy etyczne.

Aforyzmy Dąbrowskiej mają więc jakgdyby podwójne oblicze. Z jed-
nej strony *wyjaśniają* one ludzkie postęпки, ujawniają ukryte *przyczyny* po-
stępowania bohaterów, z drugiej — *tłumaczą* ludzkie czyny, ukazują ich *sens*
i wartość. Natura człowieka, stanowiąca źródło ludzkiego działania, jest za-
równo prawdą, realnym faktem, ujawniającym się w każdym odruchu, jak
wartością, czemś, co należy zdobyć, w sobie samym odkryć i przyjąć za pod-
stawę postępowania. W ten sposób psychologiczna wiedza o życiu przeradza
się w etyczną naukę życia, człowieczeństwo z gatunkowej, zoologicznej „diffe-
rentia specifica“ staje się pełnym treści i sensu ideałem moralnym.

Treść i sens tego ideału przedstawia się dość prosto. Wszyscy mimo
najrozmaitszych tysiącznych różnic, które nas dzielą, jesteśmy przedewszyst-

kiem ludźmi i więcej nas łączy niż dzieli. Każdy człowiek powinien to zrozumieć i przewyciężyć swój egoizm, a może nawet raczej egotyzm (pychę, próżność) niż egoizm; niech uczy się patrzeć na świat i oceniać otoczenie z punktu widzenia szerszego niż on sam. Musimy zrozumieć i odczuć głęboką jedność z przerastającym nas życiem. Każdy powinien być i dumny i pokorny; dumny z ważności i tajemnicy własnego istnienia, pokorny wobec niewyczerpanej wielkości i piękności świata. Zrozumieć to, odczuć i przyjąć za podstawę własnego życia — to właśnie znaczy dojrzeć do człowieczeństwa.

Z tego punktu widzenia, zapomocą subtelnych rozróżnień ocenia Dąbrowska postępowanie swych bohaterów, napozór trzymając się ściśle w ramach przyczynowego wyjaśniania faktów. Tak np. mówi o pani Holszańskiej: „Może widziała w nich (swych drobnych humanitarnych zabiegach) rzeczywiście tę wielkość, którą dojrzysz w najmniejszej kruszynie bytu, a może wielkimi zdawały się jej one już przez to, że to ona się niemi zajmowała?” (III, 1, str. 384). Lub o Hipolicie Niechcicu: „Zdaje się, że pragnął głównie spokoju. Spokoju — nie w znaczeniu opanowania tych rozmaitych spraw, co szarpia życiem, ale spokoju w znaczeniu odejścia na ubocze od wszystkiego, czem człowiek powinien się troskać i za co powinien żywotem swym odpowiadać” (II, str. 26). Zawsze w ocenie człowieka autorka kładzie nacisk nietyle na fakty zewnętrzne, na obiektywną wartość czynów, ile raczej na postawę duchową, na wewnętrzną prawdę jednostki. Klasycznym w swej śmiałości przykładem takiego spojrzenia na człowieka jest następująca uwaga o pani Michalinie Ostrzeńskiej: „Biedny człowiek czemukolwiekby służył, chce wierzyć, że służy czemuś wielkiemu i wiecznemu. I nie wiadomo co jest większą rzeczywistością: czy wiedzione samolubnym interesem czyny, czy tęsknota ducha, co je usiłuje osłonić ideałami i podnieść do godności obowiązku” (II, str. 297).

Tak w ogólnym zarysie przedstawia się zawartość aforyzmów Dąbrowskiej, skupiających w zwięzłym sformułowaniu jej wiedzę o życiu i nauce życia. Byłoby rzeczą niezmiernie ważną określić genezę tej wiedzy i nauki, zbadać jej związki i pokrewieństwa z różnymi systemami moralnymi. Nie będziemy się tem obecnie zajmowali, ograniczymy się tylko do wskazania jednego związku, wpływu, który miał jak się zdaje znaczenie najważniejsze, rozstrzygające. Wpływ ten wywarł na autorkę Edward Abramowski.

Abramowskiemu poświęciła Dąbrowska osobną książeczkę (*Życie i praca Edwarda Abramowskiego*, Warszawa, 1925). W książeczce tej wyznaje: „Dzieła jego były jedną z tych rzeczy na świecie, które natchnęły mnie wielkim entuzjazmem dla życia“. Również w *Nocach i dniach* niejednokrotnie

pojawia się w dyskusjach nazwisko szlchetnego pisarza (por. zwłaszcza charakterystyczną wzmiankę w t. IV, cz. 1, na str. 181).

W książeczce o Abramowskim przytacza Dąbrowska jego słowa: „Zjawisko społeczne jest rzeczą, w której objawia się tożsamość ludzi między sobą“. W tem zdaniu zawierają się potencjalnie wszystkie aforyzmy z *Nocy i dni*. Widzieliśmy, że głównym w nich problemem jest problem człowieczeństwa, a więc tego, co stanowi tożsamość ludzi między sobą. I zarówno dla Abramowskiego jak dla Dąbrowskiej owa tożsamość jest przesłanką i zasadniczym faktem życia zbiorowego.

A jeśli tak, w takim razie przebudowa tego życia musi być przede wszystkim przebudową moralną, polegającą na wychowywaniu i rozbudzaniu w duszach ludzkich prawdziwego, pełnego człowieczeństwa. I znaczy to, że jednostka musi uświadomić sobie swą tożsamość z jednostkami, otaczającymi ją i poprzez to uświadomienie niejako wyjść poza siebie, pozostając jednocześnie najgłębiej sobą. W takim ujęciu życia problemy *sensu stricto* społeczne, zagadnienia ustrojowe, gospodarcze i t. p., automatycznie usuwają się w tył, na plan pierwszy natomiast wysuwa się sprawa człowieka i jego kultury duchowej. Społecznym wyrazem tej ideologii jest idea spółdzielczości, pozornie łącząca się z socjalizmem, w istocie jednak wywodząca się z zupełnie innych przesłanek. I nie jest przypadkiem, że zarówno Abramowski jak Dąbrowska są entuzjastami spółdzielczości, że oboje gorąco wierzą w moralną i przez to społeczną wartość tej idei.

Zestawienie z Abramowskim uwydatnia główne rysy ideału moralnego Dąbrowskiej. Problematyka tego ideału znajduje szerokie rozwinięcie w treści opowiadania, w losach głównych i drugorzędnych bohaterów, a przede wszystkim w historii Bogumiła i Barbary Niechciców.

BOGUMIŁ I BARBARA

Na czoło powieści, jako główna i najświetniejsza kreacja Dąbrowskiej, wysuwa się niezapomniana postać Bogumiła Niechcica. Odrazu na początku *Nocy i dni* zarysowuje się on jako szczęśliwy reprezentant tej postawy moralnej, którą głosi i wyznaje autorka. „Patrzac na jego twarz spoglądało się niby w czysty przestronny dziedziniec, wiodący do bezpiecznego domu. Wystarczało go ujrzeć, aby być dobrze usposobionym nietylko do jego osoby, lecz wogóle do życia“ (I, str. 32). Bogumił „nie zwykł mieć wciąż siebie na widoku i nie miał tak pobudliwej wyobraźni, jak jego narzeczona“ (I, str. 50), „nie rozróżniał pod wieloma względami siebie od drugich“ (II, str. 59). Dwie najważniejsze rzeczy nadawały sens jego życiu, wiążąc go trwale z istnieniem, miłość i praca: „wszystek poświęcał się miłości i wszystek poświęcał się pracy“ (I, str. 59).

Po wielu latach tułaczki na obczyźnie Bogumił Niechcic, wykolejony potomek bogatego rodu, zapanowuje wreszcie nad swemi losami, żeni się z panną Barbarą Ostrzeńską i po kilku latach małżeństwa bierze w dzierżawę mocno zaniedbany i zapuszczony majątek Serbinów, leżący w okolicy gubernjalnego miasta Kalińca. Tu, w Serbinowie, przeżywa Bogumił szczęśliwe lata swego męskiego wieku jako zamiłowany rolnik i czuły mąż i ojciec rodziny. Jedynym cieniem na jego szczęściu jest żona, która nie kocha go. Ale nawet w momentach rozgoryczenia, wywołanego jej obojętnością, znajduje Niechcic pociechę w pracy. Choć nie pracuje na swoim pozornie tylko pracuje dla właścicieli majątku, którzy przebywają w Paryżu i troszczą się jedynie o dochody. W życiu Bogumiła „ziemia“ i „praca“ to rzeczy mające sens metafizyczny i choć Niechcic nie umie dociec tego sensu, odczuwa go przecież instynktownie i głęboko.

Ale szlachetna i głęboko moralna postawa Bogumiła nie chroni go od ciężkich i bolesnych rozczarowań. Już w końcu drugiego tomu powieści, który obejmuje najszczęśliwsze, najpomyślniejsze lata w życiu Niechcica, drobny epizod, ujawnienie się małej kradzieży, popełnionej przez synka, napęłnia Bogumiła rozgoryczeniem, odbiera mu chęć do pracy, do życia. Epizod ten jest zapowiedzią cięższych i boleśniejszych prób, wypełniających trzeci tom *Nocy i dni*. Tak więc dowiaduje się Bogumił o snutych za jego plecami przeciwko niemu knowaniach, i to snutych przez ludzi, którym wyświadczał same dobrodziejstwa. Syn Tomasz sprawia coraz więcej kłopotu, umiłowana żona opuszcza go i przenosi się z dziećmi do Kalińca. Wówczas Bogumił zaczyna załamywać się wewnątrz. O mało nie ulega pokusie romantycznej przygody z rozkochaną w nim panną Ksawunią, a kiedy przewycięża w sobie to gorzkie, niewczesne uczucie, popada w romans ze służącą Felicją. Wszystkie te sprawy jakoś wyrównują się i zacierają, aż w tomie ostatnim przychodzi cios ostateczny i katastrofa. Po ciężkiem przejściu z córką, stanowiącem kulminacyjny punkt nieubłaganego konfliktu między rodzicami a dziećmi, nadchodzi wieść o nieoczekiwanej sprzedaży Serbinowa przez właściciela majątku. To usuwa Bogumiłowi grunt pod nogami; tracąc warsztat pracy, traci sens życia i wiarę w życie. Po burzliwej rozmowie z właścicielem Serbinowa, który okazuje się skończonym łotrem, Niechcic załamuje się zupełnie. Widzi się na progu ruiny materialnej i moralnej, i przez asocjację przypomina sobie i powtórnie przeżywa najboleśniejszy moment swego życia, kiedy go jeszcze jako młodego chłopca gdzieś schwytano i bito, bito, bito bez litości.

A zatem idealna postawa duchowa Bogumiła nie uchroniła go od niszczącego działania złowrogich mocy zawieszonych nad człowiekiem. Tylko szczęśliwy (tak szczęśliwy, że aż nieprawdopodobny) obrót rzeczy ratuje go

od zupełnej ruiny. Ale niewiele mu już życia pozostało. Pozbawiony wszelkiego oparcia, uświadamia sobie niedługo przed śmiercią w końcowej refleksji, że był jedynie „przechodniem nie przywiązany do niczego co stałe, opartym li jedynie na tworzącej pracy.... na pracy i jeszcze być może...” (IV, 2, str. 159). Tego ostatniego nie można wyrazić słowami, bo to jest prawda metafizyczna, prawda religijna. W instynktownym poczuciu związku z tą prawdą Bogumił umiera.

Zagadkowy przypadek związał z losami Bogumiła losy Barbary Ostrzeńskiej. A przecież trudno o bardziej jaskrawy kontrast charakterów. W przeciwieństwie do niezamężnej pogody Niechcica pani Barbara posiada usposobienie niemal ponure. W młodości miała wielkie i mgliste ambicje, pragnęła iść z duchem czasu, osiąść rozległą wiedzę i zaznać życia na szerokim świecie. Okoliczności uczyniły ją żoną biednego dzierżawcy, ale rana niespełnionych ambicji jątrzyła do końca. Drugim ciosem zadany przez los młodziutkiej pannie była nieszczęśliwa miłość do Józefa Toliboskiego, miłość pierwsza i jedyna. I ta rana nie chciała się goić, wspomnienie o Toliboskim towarzyszyło pani Barbarze przez cały bieg jej życia. Ostatecznie przybiła panią Barbarę nagła śmierć czteroletniego synka, ukochanego Piotrusia. Pod wpływem tych klęsk wybijały wrodzone cechy charakteru bohaterki: lęk przed uczestniczeniem w życiu, nieufność do ludzi i zdarzeń, wieczny niepokój, podsycany przez przeczuloną wyobraźnię. Łączą się z tem jeszcze inne właściwości. Pani Barbara czuje się niezmiernie słaba, bezbronna, nie ma — w swoim mniemaniu — żadnego oparcia. Zapatrzona na siebie, niezdolna jest do prawdziwej miłości; w Bogumile widzi tylko podpórę, chwiejną i niepewną, swego zmarnowanego życia. Oto charakterystyczny dialog małżonków: „A przytem — dodał smutno (Bogumił) — jakże nas (dzieci) mają kochać, kiedy i my się nie kochamy“. „Jako — zlekła się pani Barbara. — Przecież ty zawsze mówisz, że mnie kochasz“. Bogumił zaśmiał się boleśnie. Oto tak wyglądała jej troska o ich miłość!“ (III, 1, str. 307).

Ujemne cechy charakteru pani Barbary ujawniły się dopiero po unormowaniu się egzystencji Niechciców, w okresie cichej, znoej i płodnej pracy w Serbinowie. Wówczas okazała się ona kobietą niezdolną do współżycia, trującą siebie i otoczenie urojonemi przeważnie kłopotami. Na tle swego fatalnego usposobienia przechodziła nieraz ostre ataki niepokoju, który można by nazwać metafizycznym; wtedy ze ślepym lękiem pytała, dokąd i poco toczy się życie — to życie, z którem nie umiała się w żaden sposób pogodzić.

W późniejszych czasach życie zadało pani Barbarze wiele ciężkich ciosów i rzeczywiste nieszczęścia wypłoszyły z jej wyobraźni widma urojonych zmartwień. I podczas gdy Bogumił, jak widzieliśmy, łamał się i osta-

tecnie załamał pod ciosami losu, pani Barbara dojrzała pod nimi do pełniejszego i prawdziwszego człowieczeństwa. Marzyła ona przez wiele lat o przeniesieniu się do miasta, lecz zamieszkawszy z dziećmi w Kalińcu, przeżyła głębokie rozczarowanie: okazało się, że zło tkwiło nie w miejscu, ale w jej stosunku do miejsca. I rozczarowawszy się do miasta nauczyła się cenić wieś. Następnie zaznawszy dotkliwego upokorzenia powodu zdrady Bogumiła, uświadomiła sobie w surowym rachunku sumienia, że Bogumił jest jej jedynym, prawdziwym oparciem w świecie. I rzecz paradoksalna: właśnie gdy uświadomiła sobie i odczuła swą zależność od męża, stała się stokroć bardziej niezależna i pewna siebie niż była. I wreszcie w obliczu straszliwej choroby i śmierci swego szwagra Lucjana Kocięła zrozumiała, że istnienie jest i musi być tragedją — i że właśnie z uznania tej prawdy wypływa prawdziwy i głęboki spokój, godzący i jednoczący nas z życiem.

Umocniona ciosami życia pani Barbara po bohatersku znosi utratę Serbinowa, śmierć Bogumiła i rozłąkę z dziećmi. Otrzymuje w darze od losu bezcenną krótką chwilę zupełnego spokoju, a w momencie, kiedy ten spokój zaczyna ją dręczyć swą monotonią — wybucha wojna światowa. I znowu podziwiamy heroizm tej samotnej, starej kobiety. Jeszcze jedna gorzka pozostała: ostatnie i — ostateczne rozminięcie się z Józefem Toliboskim. Ale oto, jadąc na trzęsącym się wózku, niewiedomo dokąd, w rosnącej zawierusze wojennej „zawierzyła życiu; w hałasie walenia się wszystkiego i ogólnej niepewności wszystko wydało jej się pewnem i stałem“ (IV, 2, str. 326). Powieść nito urywa się, nito kończy symbolicznie wieloznacznymi słowami powożącego Szymusza, który uspokaja obawy pani Barbary, stwierdzając: „Konie idą na pamięć“.

W tem schematycznym ujęciu historii Bogumiła i Barbary uwidocznia się prostota i skończona doskonałość kompozycyjna *Nocy i dni*. Losy obojga postaci biegną z idealną równoległością, każde przeżycie, każdy ważniejszy fakt w życiu jednego z małżonków jest równocześnie etapem w dziejach drugiego. Kierunek tych losów wytyczony jest jasno i wyraziście, każdy tom tetralogii spełnia odrębną, jemu wyznaczoną rolę w historii Niechciców. Autorka wytrzymała od początku do końca ścisły dystans epicki w stosunku do Bogumiła i Barbary, ujęła życie tych ludzi jako jednolitą całość, prześwieconą wyższym sensem. Spróbujmy zdać sobie sprawę z tego sensu i sformułować go w krótkich słowach.

Powiedzieliśmy już, że Bogumił reprezentuje głoszoną przez autorkę postawę moralną. Pracując na cudzej ziemi, urzeczywistnia owo człowieczeństwo, o którym mówi Dąbrowska w swych aforyzmach. Praca wyzwala Bogumiła z ciasnego kręgu egoizmu, jedna i jednoczy go ze światem. Jest on wcieleniem ideału moralnego autorki, żywym świadectwem prawdy jej

słów ze szkicu publicystycznego *Codzienna praca* (Warszawa, 1930), w którym czytamy: „Pracując nieuczciwie, łamiemy naszą tożsamość z ludźmi, zabijamy w sobie Boga“, „dzięki pracy nie jesteśmy w niewoli wielkiego tyrana, który się nazywa próżność“ i t. d.

Ale jak się okazuje ta właściwa, godna człowieka, postawa moralna nie chroni od klęsk i nieszczęść. Pod naciskiem okoliczności i własnych popędów Niechcic załamuje się i ginie. Jest w dziejach tej postaci prawdziwy *tragizm*, tragizm w sensie Maksa Schelera: wartość duchowa, postawa moralna wchodzi w nieubłagany konflikt z przyrodniczym porządkiem rzeczy, rządzącym w życiu, i ulega temu porządkowi. Ale to, co na jednej płaszczyźnie jest klęską, w płaszczyźnie innej ukazuje się jako triumf. W przededniu śmierci Bogumił uświadamia sobie, że postawa duchowa, która nadała treść jego życiu, nie była błędem i fałszem, mimo poniesionej klęski. Jej sens i wartość pozostały nienaruszone, ocaliła je i uniosła ponad życie *sankcja religijna*.

Inny kierunek i sens objawia się w dziejach Barbary. W wyniku ciężkich i bolesnych przejść zdobywa ona przekonanie, że sama ponosi winę za krzywy bieg swego życia, że błąd tkwił w jej postawie duchowej, w niepokoju, lęku i nieufności, któremi chciała jakgdyby zaskoczyć nieszczęście, wyminąć je. Dopiero kiedy przejrzała, że jest nierozzerwalnie związana z przetrastającym ją istnieniem, które nieuchronnie musi być tragedją, wówczas pojednała się wewnętrznie z ciemnym i zawiłym biegiem spraw ludzkich. I w ostatecznym rezultacie doszła do tego, od czego zaczął Bogumił.

Widzimy tedy, że dzieje Bogumiła i Barbary przeświecła ta sama prawda moralna i metafizyczna, która wyraziła się w rozsianych po *Nocach i dniach* aforyzmach, bezpośrednich wypowiedzeniach autorki.

T Ł O E P O K I

Historja Bogumiła i Barbary jest ściśle umiejscowiona w przestrzeni i w czasie, wyrasta na konkretnym gruncie i rozwija się w oparciu o główne historyczne wydarzenia epoki. Oboje małżonkowie są spóźnionymi potomkami potężnych niegdyś rodów ziemiańskich. Zachwiał potęgą tych rodów upadek porządku feudalnego, a ostatecznie dobił je rok 63. Pod wpływem dziejowych przeobrażeń Adamowa Ostrzeńska, matka pani Barbary, przestała wierzyć w znaczenie i moc pochodzenia, odtąd „wierzyła tylko w wykształcenie“ (I, str. 20); jeden z jej synów został inżynierem, drugi przyrodnikiem.

Tak od początku wnikają echa czasu do życia bohaterów powieści. Należą oni bez wyjątku do szarej masy pospolitych zjadaczy chleba, ani jeden z nich nie jest postacią historyczną. Losy tych ludzi rozgrywają się

niejako na marginesie dziejowych wydarzeń, w cichym zakątku, daleko od wielkiej sceny świata i aktorów ról tytułowych. A przecież istnieje głęboki wewnętrzny związek między zaściankowym życiem Serbinowa i szerokim nurtem spraw publicznych, istnieje wspólny rytm, obejmujący tło epoki i koleje prywatnego życia bohaterów, i ten wspólny rytm jest tajemnicą doskonałej harmonijności *Nocy i dni*.

W punkcie poprzednim, charakteryzując kolejne etapy historii Bogumiła i Barbary, zwróciliśmy uwagę na to, że każdemu etapowi tych dziejów odpowiada jeden tom tetralogji. Tom pierwszy (*Bogumił i Barbara*) stanowi preludjum, wstęp do historii właściwej, która zaczyna się pod jego koniec z chwilą osiedlenia się w Serbinowie i wypełnia tom następny (*Wieczne zmartwienie*). Są to szczęśliwe, spokojne lata w życiu Niechciców, okres budowania trwałych fundamentów pod byt rodzinny i powolnego lecz stałego bogacenia się. Tom trzeci (*Miłość*) przynosi zachwianie się sytuacji życiowej Bogumiła i Barbary, o czym szczegółowo mówiliśmy poprzednio. Wreszcie w części ostatniej wszystko zdąża ku katastrofie, która przychodzi w postaci utraty Serbinowa, śmierci Bogumiła i samotnej tułaczki opuszczonej pani Barbary.

A teraz scharakteryzujemy równoległy z temi zdarzeniami bieg spraw publicznych. Chwiejność, niepewność podstaw bytu w *Bogumile i Barbarze* jest rezultatem klęski powstania styczniowego, ustabilizowanie się życia Niechciców i wzrost ich zamożności ściśle wiąże się z okresem triumfującego pozytywizmu i jego naczelnem hasłem „enrichissez - vous”. *Miłość* przynosi zachwianie równowagi nie tylko w życiu prywatnym, ale i publicznym; charakteryzują je w tym czasie takie fakty, jak wojna japońska, początki bezrobocia, strajk szkolny i zaburzenia rewolucyjne 1905 roku. Wreszcie *Wiatr w oczy* daje równocześnie obraz klęski rodziny Niechciców i wizję upadku świata przedwojennego. Zapowiedziana tajemniczymi znakami na niebie i ziemi, wybucha wojna światowa; wstrząsający epizod pożaru Kałina, podpalonego przez Niemców, urasta do symbolu jej niszczącej siły.

Ten wspólny rytm zdarzeń wielkich i zdarzeń małych, spraw publicznych i spraw prywatnych, obserwujemy zarówno w ogólnym układzie powieści, jak w szczegółach. Jakże trafnie charakteryzuje epokę motyw spekulacji gruntowej, wprowadzony w *Wiecznym zmartwieniu*; jak znamienny jest dla tych czasów epizod wieczorynki patryjotycznej, ukoronowanej głośnym odczytaniem *Legendy* Sienkiewicza i odśpiewaniem pieśni narodowych. Myśli i uczucia czulej jak seismograf pani Barbary nieraz krążą wokół bieżących wypadków politycznych, czerpiąc z nich smutek lub pocie-

chę. Również Bogumił ulega sugestji wielkich wydarzeń; jest bardzo subtelnie zaznaczone, że Niechcic, rozdawszy pośród służby folwarcznej wezwania, powołujące na wojnę japońską, odczuwa nagłe i gwałtowne zachwianie wewnętrzne, i później rozpamiętując swą przygodę z Felicją, usprawiedliwia się przed sobą, „że przecież wszystko wypadło ze swej kolei, więc jakby on się miał ostać“ (III, 2, str. 52). Wspólny rytm!

W pierwszym i drugim tomie powieści przedstawia autorka jako tło atmosferę gubernjalnego miasta Kalińca, przesyconą duchem nowych czasów. Reprezentuje tego ducha Daniel Ostrzeński, przyrodnik, przedstawiciel formalnej i bezdusznej „wiedzy“ pozytywistycznej, żona jego Michalina, namiętna działaczka społeczna i niemniej namiętna kierowniczką uniwersalnego magazynu, oraz syn ich Anzelm, typowy człowiek interesu, sławiący walkę o byt jako dźwignię postępu społecznego. Towarzyszka pani Michaliny w pracy filantropijnej, rejentowa Holszańska, uprawia nadto „muzykę, hodowlę pieska rzadkiej rasy i — mimo bezdzietności — kult domowego ogniska“ (I, str. 127). Całe to środowisko przedstawia Dąbrowska z ironicznym, choć wyrozumiałym uśmiechem, ujmuje je jako negatyw Serbinowa. Najsympatyczniejszym „organicznikiem“ z Kalińca jest szwagier pani Barbary, Lucjan Kocięł, który roił o wielkiej działalności przemysłowej, aż chory śmiertelnie na raka przejrzał i w jakimś proroczem nawiedzeniu przepowiada: „Przeraża mnie myśl, że nadejdą czasy, które będą człowieka jeszcze bardziej rozdrabniać, rozkruszać. Wy tam tego w waszym zakątku nie czujecie, ale mnie się zdaje, że idzie na świat coś nieludzkiego, co zaleje człowieka, nie wiem co to jest, co to będzie, ale to nadciąga, nadciąga. Władza, interes, maszyna“ (III, 1, str. 248).

Dąbrowska, od początku niechętnie usposobiona do świata kalinieckiego, przedstawia jego upadek z chłodnem okrucieństwem, godnem Balzaca. Oglądamy starcze zdziecinnienie wuja Daniela, widzimy spustoszenia, wyrządzone przez starość pani Michaliny i pani Holszańskiej. Nadchodzą inne czasy, a zapowiadają je kalinieccy dekadenci: wielbicielka Przybyszewskiego panna Celina Mroczkówna i chory na zanik woli Janusz Ostrzeński. W trzecim tomie powieści (*Miłość*) wdzierają się szerokiem korytem burzliwe prądy czasu. Odtąd wiele miejsca zajmują dyskusje idealistki Marji Hłasko i rządcy Olczaka w Serbinowie, rejenta Holszańskiego, szlachetnego fabrykanta Ceglarskiego i rewolucjonisty Śniadowskiego w Kalińcu. Treść tych rozmów da się naogół sprowadzić do niewyrównanego przeciwieństwa między rewolucyjnem „cel uświęca środki“ a etycznymi skrupułami humanitarystów, którzy marzą o sprawiedliwości społecznej, ale wzdragają się przed rozlewem krwi. Jedni akcentują konieczność reformy warunków po-

litycznych i społecznych, drudzy kładą nacisk na wychowanie lepszego człowieka.

Nie zdaje się jednak, aby szerokie wprowadzenie tła do powieści przyniosło dobre rezultaty. Z prawdziwym niepokojem patrzymy na rozrastające się bez miary epizody, jak np. dramat Katelby, Celiny i Janusza, rozwijający się niespodzianie w samodzielny ośrodek fabuły. Dyskusje polityczne, toczone bez granic, cokolwiek rażą w utworze, skądinąd reprezentującym czystą sztukę epicką, tembardziej, że są dość monotonne i ubogie. Nowe postaci wprowadzone w znacznej ilości nie posiadają dostatecznej „wnętrznej siły żywota“, aby zaznaczyć się w naszej wyobraźni i utrwalić w pamięci. Dotyczy to zarówno idealistki panny Hłasko, jak i nieznosnie papierowego rezonera Ceglarskiego. Wszystkie te usterki płyną z jednego zasadniczego braku, z zachwiania się dystansu epickiego. Dystans epicki nie sprowadza się bynajmniej do pospolitego, reporterskiego obiektywizmu; jego niezbędną przesłankę stanowi zamknięty obraz świata, zorganizowany z pewnego określonego punktu widzenia, z pewnego stanowiska moralnego. *Ideał moralny jest podstawą artystycznego kształtowania rzeczywistości.* W świetle tego ideału życie ludzkie z bezkształtnej miazgi doznań, z mechanicznej sumy przeżytych chwil kształtuje się w organiczny, zamknięty, pełen sensu proces. Prawdziwy epik ujmuje każdą egzystencję *sub specie* jej stosunku do wyznawanego przezeń systemu wartości; klasycznym przykładem takiego ujęcia jest scharakteryzowana poprzednio historia Bogumiła i Barbary. Tylko na tej drodze zdobywa pisarz prawdziwy dystans epicki, mocą którego zdala, a ściślej mówiąc, zgóry ogarnia cały przedstawiony świat, ujmując go jako jedność i całość. I tak osiągnięty dystans jest podstawą jednolitej i zamkniętej kompozycji epickiej²⁾.

W ten właśnie sposób ujmuje autorka rzeczywistość w dwóch pierwszych tomach tetralogji, w których obraz epoki ukazany jest drugoplanowo, a przecież nader wyraziście. Atmosfera pozytywistycznego Kalińca, wzniosła śmieszność drobnych zabiegów pani Ostrzeńskiej i pani Holszańskiej, żaloszny intelektualizm wuja Daniela i geszefciarstwo Anzelma — wszystko to jest artystycznie przekonywujące, żywe i prawdziwe. Dąbrowska stoi całkowicie ponad tym światem, obejmuje go bez reszty w swych kategoriach poznawczych i moralnych i właśnie dzięki temu może spoglądać z humorem na tę mieszaninę rzeczy dużych i małych, wzniosłych i śmiesznych.

Natomiast w dalszych tomach, zwłaszcza w *Miłości*, równowaga pomiędzy tłem i historjami postaci pierwszoplanowych została zachwiana.

¹⁾ Por. głębokie wywody Emila Ermatingera w studjum „Probleme in der neueren deutschen Epik“, w zbiorze „Krisen und Probleme in der neueren deutschen Dichtung“ (Zürich, 1927).

Dąbrowska nie umiała powściągnąć tendencyj odśrodkowych, nie zdobyła się na artystyczne zorganizowanie tej części powieściowej rzeczywistości, a to dlatego, że nie potrafiła zająć moralnego stanowiska względem wprowadzonych do utworu nowych prądów i problemów. Jej system wartości okazał się niezupełny, niedostateczny, autorka nie zdołała w jego ramach zrozumieć, ocenić i w wyniku artystycznie ukształtować dyskusyj i sporów między humanitarystami i zwolennikami rewolucji. Uczuciowo jest ona z pierwszymi, rozumowo jednak przyznaje część słuszności drugim. Dlatego nie umiała utrzymać epickiego dystansu i zdobyła się jedynie na reporterski obiektywizm, stwarzając zamiast żywych ludzi — postaci z papieru, dając zamiast artystycznie ukształtowanej problematyki — surowy i suchy materiał dokumentarny.

W dalszych przesłankach to załamanie się epickiego dystansu łączy się z zasadniczą przemianą, zachodzącą w trzecim tomie *Nocy i dni*. Oto obok historii Bogumiła i Barbary, która stanowi główną oś powieści, zaczynają wysuwać się w charakterze samodzielnego czynnika dzieje córki Niechciców, Agnieszki, jako druga oś konstrukcyjna. I właśnie to przesunięcie ośrodka kompozycyjnego stanowi właściwą przyczynę zachwiania się epickiej równowagi w *Nocach i dniach*.

SPRAWA AGNIESZKI

Początkowo Agnieszka Niechcicówna jest postacią drugoplanową. Rysuje się wówczas wyraziście jako dziewczynka o wrodzonym, silnym poczuciu etycznym, odziedziczonym po ojcu. Dopiero w pierwszej części *Miłości* drogi rodziców i córki rozchodzą się. Poznajemy więc dokładnie otoczenie i życie Agnieszki na pensji pani Wenordenowej w Kalińcu. Humorystyczno-sentymentalna stylizacja tych rozdziałów przypomina w dalekim skojarzeniu Dickensa. W dalszym ciągu nie otrzymujemy ciągłej historii Agnieszki, pojawiają się tylko luźne epizody, przeplatające się z dziejami Bogumiła i Barbary i coraz szerzej uwzględnianem tłem ideowo-politycznym. W tym układzie epizody, dotyczące Agnieszki, stają się dorywczymi wtrętami, których cel i sens trudno nam zrozumieć. Opowiada autorka szeroko o przyjaźniach Niechcicówny, o przeżyciach jej na ślizgawce i na lekcji tańca, o perwersyjnym stosunku do literatury rosyjskiej, o pierwszym buncie przeciw narzuconemu obowiązkowi (spowiedź) i pierwszej miłości — ale wszystkie te mniej lub więcej ważne przeżycia nie składają się w sumie na rozwój duchowy bohaterki. Powtarza się w nich do znudzenia jedna sytuacja, jeden moralny dylemat: jak pogodzić mrozące się wątpliwości w stosunku do siebie i do niesprawiedliwych urządzeń społecznych z niewyczerpanym, niewy tłumaczalnym urokiem świata i życia.

Istotne rozwinięcie tego dylematu znajdujemy w rozdziałach, poświęconych lozańskiemu epizodowi w życiu Agnieszki. Po skończeniu pensji Niechcicówna wyjeżdża na studia do Szwajcarii. Ale wkrótce studia schodzą na plan dalszy wobec przeżyć i wrażeń innego rodzaju. Agnieszka styka się i wchodzi w łączność z politycznym ruchem młodzieży polskiej, niemal bez wyjątku nastrojonej radykalnie i socjalistycznie, częściowo jednak — patryjotycznej, częściowo — ortodoksalnie marksowskiej. Niechcicówna nie żywi większej sympatii ani do prawicy, ani do lewicy partyjnej. Z niechęcią odnosi się do hałaśliwej i — jak sądzi — bezpłodnej roboty politycznej. Uważa ona, że cicha codzienna praca bardziej posuwa dzieje, niż wiecowe przemówienia i okrzyki. Na ten temat toczy nieskończone i namiętne dyskusje z młodym rewolucjonistą, wodzem i bożyszczem młodzieży, Marcinem Śniadowskim. Ten Śniadowski jest postacią dosyć dwuznaczną. Zdaje się, że autorka widziała w nim typ człowieka złamanego przez psychozę rewolucyjną i takim go przedstawiła. Tylko pozornie jest on twardy i stanowczy; w istocie pod zewnętrzną twardością kryje się w nim skłonność do hamletyzowania, niezdolność do świadomego kierowania własnym życiem. Kiedy Agnieszkę i Marcina wiąże nagle miłość, niespodzianie objawiona i rozkwitła wśród „światopoglądowych“ przeciwieństw, od razu ujawnia się w tym związku kontrast jej prostoty, uczciwości, szczerości z jego chwiejnością, pozerstwem i wewnętrznym zakłamaniem. Śniadowski jest związany z kilkoma kobietami i nie umie rozwiązać swych zawikłanych spraw erotycznych. Raz chce porzucić wszystko dla Agnieszki, kiedyindziej czuje się beznadziejnie wpętany w straszne, niewidzialne sidła, z których nie można się wyplątać, które trzeba — choćby kosztem osobistego szczęścia — rozerwać.

Okazuje się przecież, że miłość, prawdziwa miłość, stanowi niezawodną podporę w życiu. Jak to pięknie wyraża Dąbrowska: „Może w tem jest jedyna racja miłości, że kiedy zrywa się więź, co nas łączy ze światem, ona przychodzi w pomoc jako przypomnienie, że więź istnieje i poprzez bliskość dwojga młodych nawiąże się napowrót ze wszystkim“ (IV, 1, str. 55). Miłość podtrzymuje zarówno Marcina jak Agnieszkę. Bo i ona płacze się bez wyjścia, nie mogąc dojść z sobą do porządku; spiera się z Marcinem, wie-dzie długie rozmowy w Kalińcu, w Serbinowie, wpada w namiętny spór z księdzem Komodzińskim, w Warszawie dyskutuje z młodym kandydatem na faszystę, Bolesiem Orłowiczem. Podczas gdy błądy epizod lozański interesuje przynajmniej jako dokument epoki, wszystkie późniejsze „zasadnicze“ rozmowy są zawstydzająco puste i nudne. Bez końca powtarza Agnieszka humanitarno-liberalne formułki w rodzaju: „Człowiek musi do wszystkiego dorastać sam. I do stosowania przymusu wobec siebie także sam“ (IV, 1, str. 38), lub: idzie o to, aby „żyjąc dla drugich, nie wyrzekać się własnej pełni

życia... Być ludziom ku pomocy, służąc samemu sobie“ (IV, 1, str. 181), lub: „ja nie jestem indywidualistką, ale chciałabym być indywidualnością“ (IV, 1, str. 304).

„I wkońcu jedno tylko świeciło w tej ciemności: ich miłość“ (IV, 1, str. 184). Plastycznie symbolizuje tę prawdę zakończenie historii Agnieszki i Marcina. W ostatniej scenie widzimy kochanków na pokładzie okrętu, zdążającego z Anglii na kontynent. Okręt jest przepełniony pasażerami, których porwał z miejsca wybuch wojny europejskiej. I w obliczu nadciągających wielkich i strasznych wypadków oboje kochankowie czują z niespodziewaną siłą, że „nie mają nic i nikogo ponad siebie i swoją miłość“ (IV, 2, str. 261). I ta miłość zwycięsko kładzie się wpoprzek całemu wstrząśniętemu w posadach światu. Owładnięta błogiem uczuciem pewności i spokoju Agnieszka w nagłym akcie wiary dostrzega, że we wszystkich przewrotach i burzach dziejowych idzie przede wszystkim właśnie „o wykrzesanie... lepszego, prawdziwszego człowieka“ (IV, 2, str. 261).

Ale nawet ta wspaniała scena, godna Conrada, nie ratuje w naszych oczach historii Agnieszki. Dzieje tej bohaterki nie ukazują się nam jako skończona całość, pełna sensu i wskazująca na wyższe prawo, lecz jako miazga chaotycznych przeżyć, fragmentarycznych i urywkowych epizodów. Autorka nie umie ująć życia tej postaci z wyższego niż to życie punktu widzenia, nie umie wznieść się ponad swą bohaterkę, patrzy na nią i otoczenie jej własnymi oczami, co szczególnie jasno uwidocznia się w epizodzie lozańskim. W ten sposób załamuje się epicki dystans (jakże nienaturalnie wyglądałaby w tekście obok „pani Barbary“ „panna Agnieszka“!), autorka traci panowanie nad tematem, nie kształtuje go, tylko bezwolnie poddaje się jego urokom. Stąd owe wielosłowne dyskusje, stąd podawane *in extenso* listy kochanków, wprost nieczytelne przez swą nieznośną młodopolszczyznę. Być może, że świadomą wolę artystyczną osłabił w tych rozdziałach napór wspomnień osobistych, że czynnik autobiograficzny nie dał się opanować.

Zdaje się, że i w tym wypadku braki w artyzmie stanowią ścisły odpowiednik i wyraz braków głębszych, zasadniczych niedostatków postawy duchowej. Dąbrowska patrzy na otoczenie oczami Niechcicówny, nie umie ująć życia tej postaci z góry, po epicku, jako jedność i całość, a to dlatego, że problemy i dylematy Agnieszki (analogicznie do wspomnianego poprzednio Ceglarskiego) są jej własnymi problemami. Autorka razem z Agnieszką wierzy, że „warunki są *tylko* warunkami, a człowiek jest *aż* człowiekiem. Człowiek tyle samo ulega warunkom, co je tworzy“ (*Codzienna praca*, str. 35). Ale w świetle powieści przeświadczenie to okazuje się fałszywe, a przynajmniej niedostateczne, tak jak niedostateczny i przez to fałszywy jest szlachetny humanizm Dąbrowskiej.

„Człowiek“, o którym tylokrotnie mówi autorka w swych aforyzmach, redukuje się w nich zawsze do izolowanej jednostki. Najwyższym zadaniem jednostki jest wykroczyć poza ciasny krąg indywidualnego egoizmu i stać się osobowością moralną. Ale istnieje jeszcze inny „człowiek“, odrębny, ponadindywidualny, objawiający się w zbiorowości, która stanowi organiczną całość, zgoła różną od mechanicznej sumy jednostek. Dąbrowska zdaje się przeoczać istnienie osobowości zbiorowych, a przecież one właśnie są realnym podmiotem dziejów. Ten zasadniczy brak w ujmowaniu rzeczywistości nie ujawnia się w historii Bogumiła i Barbary, ponieważ sprawy publiczne ukazują się w niej na planie drugim, jako rzecz wtórna, kształtowana w równoległości z losami głównych bohaterów i stanowiąca refleks ich egzystencji. Natomiast w tomach dalszych brak ten występuje z całą siłą, odbija się na artystycznym ukształtowaniu problematyki nowych prądów duchowych (o czym szczegółowiej mówiliśmy w punkcie poprzednim) i również odbija się w ujęciu historii Agnieszki. Życie tej bohaterki nie zostało zorganizowane i przedstawione jako zamknięta jedność i całość, stanowi ono bezkształtny chaos faktów psychicznych, pozbawiony jasno wytyczonego kierunku i sensu.

Dopiero w scenie ostatniej, w epizodzie okrętowym Dąbrowska rozstrzyga swe niezdecydowanie, przerywając wreszcie błędne koło jałowych wahań i wątpliwości Agnieszki. I właśnie w tej scenie ujawnia się najsilniej niedostateczność i jednostronność ideowa powieści. Cóż naprawdę znaczy zdanie, że sensem wojennej zawieruchy jest wykrzesanie lepszego, prawdziwszego człowieka? O ile wzniosły ten postulat wyjaśnia dynamikę dziejów i tłumaczy wielki dziejowy kataklizm? Chyba jednak nic nie wyjaśnia i bardzo niewiele tłumaczy. Słowa te błędną, nikną i ulatują z pamięci, jakże mocno natomiast utwierdza się w wyobraźni scena, w której Agnieszka w momencie walenia się starego świata, porwanego w wir rozszalałej burzy dziejowej, z pysznym i samolubnym gestem przeciwstawia mu nienaruszony ład swego prywatnego życia, swą niezłomną miłość do Marcina.

OD OŚRODKA KU PERYFERJOM

„Cały Serbinów obleczony był dla niej w mnóstwo skojarzeń i wspomnień, czyniących każdy tutejszy drobiazg na tysiąc sposobów lubym i nowym. Powszedniość tego umianego napamięć bytu nie dawała nigdy wyczerpać utajonego w sobie znaczenia, które upajało jak stare w zakurzonej omszonej butelce podane a przednie wino“ (IV, 1, str. 194).

Słowa te odnoszą się do Agnieszki, wyrażają jej uczuciowy stosunek do rodzinnego domu. Ale pozatem mają one ogólniejsze i głębsze, symboliczne znaczenie. Przecież Serbinów stanowi w powieści Dąbrowskiej nie tylko miejsce, nie tylko punkt geograficzny, w którym rozgrywają się najważ-

niejsze wypadki w dziejach rodziny Niechciców. Spełnia on nierównie większą i bardziej doniosłą rolę. Jest organicznie związanym z Niechcicami ośrodkiem życia i ośrodkiem kompozycji epickiej utworu; jego aura owiewa ludzi i zdarzenia, które dzięki tej atmosferze stają się nam bliskie i drogie.

Serbinów rozjaśnia tajemnicę układu *Nocy i dni*. Tom pierwszy tetralogii odczuwamy jako prolog, jako preludjum; dopiero w ostatnich rozdziałach *Bogumiła i Barbary*, z chwilą osiedlenia się Niechciców w Serbinowie rozpoczyna się historia właściwa, zaczyna się ów przedziwny i upajający tok epickiej narracji, sunącej rytmicznie i nieprzerwanie aż do ostatnich stron *Wiecznego zmartwienia*. *Miłość* przynosi znaczne rozszerzenie horyzontu, ale jednocześnie zaznacza się w niej stopniowe obniżanie się artystyzmu. Tylko to, co rozgrywa się w Serbinowie oraz w przyległym do niego i ujrzanym w jego perspektywie Kalińcu, jest artystycznie żywe i przekonujące. Tymczasem bieg fabuły wykracza daleko poza serbinowskie opłotki, ogarniając Warszawę, Lozannę, Brukselę, ocierając się o Londyn. A przecież jeszcze w ostatniej części tetralogii *Wiatr w oczy*, poza dramatycznym epilogiem, jaskrawo odcinającym się na tle całości, najbardziej zachwycą nas cudowna powszedniość serbinowskiego bytu, która „nigdy nie dawała wyczerpać utajonego w sobie znaczenia“.

W stosunku do *Bogumiła i Barbary* i *Wiecznego zmartwienia*, *Miłość* i *Wiatr w oczy* napozór wzbogaciły powieść Dąbrowskiej, w istocie jednak zubożyły ją. Zapewne, pojawiły się w nich takie indywidualności, jak Ceglarski lub Marcin Śniadowski, ale przez to zasunął się nieco w cień Bogumił, a przecież żadna z postaci *Nocy i dni* nie żyje tak głęboko, tak intensywnie, jak on. Rozszerzył się ideowy horyzont, zapewne — sprawiły to owe coraz liczniejsze i coraz bardziej nużące dyskusje „światopoglądowe“, ale przecież najgłębsze, najistotniejsze dla tej powieści zagadnienia moralne nie w tych dyskusjach się rozstrzygają, ale właśnie w życiu, w ciasnym codziennym życiu mieszkańców serbinowskiego forwarczku. I ani Lozanna, ani Bruksela, ani kanał La Manche nie zdołały na stronach tej książki ani w części wyrównać piękności tego zapadłego i nieznanego zakątka ziemi, który opromieniły twarde codzienne trudy Bogumiła Niechcica.

Podziwiając wielkie dzieło Dąbrowskiej, nie zamykajmy oczu na jego wielkie i zasadnicze braki. Autorka *Nocy i dni*, pragnąc dać więcej, niżeli obiecała w dwóch pierwszych tomach, dała w rezultacie mniej od tego ileśmy się po tych pierwszych tomach spodziewali. Ale przy wszystkich brakach jest w tej książce tyle niewyczerpanej piękności i tyle prawdziwej mądrości życia, że niewątpliwie stanie ona w rzędzie klasycznych powieści polskich.

WŁADYSŁAW MALINIAK

FETYSZYZM PRAWNICZY W DOKTRYNACH KONSTYTUCYJNYCH

(Dokończenie)

§ 11. Sensacyjne wnioski prawne i polityczne, wynikające z dyskwalifikowania Izby posłów. I. Zdyskwalifikowanie posłów. II. Stosunek do dyktatury. § 12. Liberalizm burżuazyjny w obronie legalizmu i antymilitaryzmu w czasie pruskiego konfliktu konstytucyjnego. I. Polityczna strona pruskiej reformy wojskowej. II. Opozycja polityczna a sprawa zwycięstwa w wojnie z r. 1866. III. Walka opozycji liberalnej o Landwehrę. IV. Bismarck już w r. 1850 przeciwstawia armję parlamentowi, demokracji i liberalizmowi. § 13. Ludność a armja w Prusiech. I. Stosunek mas ludowych do armji. II. Skład społeczny korpusu oficerskiego. III. Stosunki w armji. IV. Niepopularność armji a popularność floty. V. Engels a kwestje powyższe.

§ 11. SENSACYJNE WNIOSKI PRAWNE I POLITYCZNE, WYNIKAJĄCE Z DYSKWALIFIKOWANIA IZBY POSŁÓW OKRESU KONFLIKTU.

I. Zdyskwalifikowanie posłów.

Dlatego też i wnioski praktyczne, jakie omawiany autor wyciąga ze stanu rzeczy, tak przez siebie opisanego, cechuje zdecydowana bezceremonialność wobec pyszałkowatych demo-liberalnych zawalidrogów, względnie wobec „panów posłów”.

Autor ten jest o Bismarcku zdania, że „światna karjera otworzy się przed naszym kresowym junkrem, jeżeli tylko mieć będzie odwagę i rozum, aby zaatakować (*zuzugreifen*). Czyż Ludwik Napoleon nie stał się bożyszczem burżuazji właśnie dlatego, że *parlament rozsadził*, ale zyski jej zwiększył? A czyż Bismarck nie miał tych samych talentów do interesów, które burżua-

zja tak bardzo w fałszywym Napoleonie podziwiała? Czyż Bismarcka nie ciągnęło do jego Bleichrödera, tak samo jak Ludwika Napoleona do jego Foulda? Czyż w r. 1864 w Niemczech nie zachodziła sprzeczność między przedstawicielami burżuazji w Izbie, która na czasie służby chciała skąpić (*abknickern*), a burżuazją zewnątrz w Towarzystwie Narodowym, która za wszelką cenę domagała się narodowych czynów — *czynów, do których potrzebne jest wojsko*? Zupełnie podobna sprzeczność, jaka zachodziła we Francji w r. 1851, między burżuazją w Izbie, która pragnęła trzymać w ryzach władzę prezydenta, a burżuazją nazewnątrż, domagającą się spokoju i silnego rządu, spokoju za wszelką cenę. Sprzeczność tę Ludwik Napoleon rozwiązał w ten sposób, że *rozpędził swarliwe parlamenty*¹⁾, zaś masie burżuazji dał spokój. *Czy sprawy w Niemczech nie ułożyły się jeszcze bardziej pewnie dla śmiałego chwytu (Griff)?* Czyż burżuazja nie dała gotowiu-sieńkiego planu reorganizacji i czyż sama nie domagała się głośno energicznego pruskiego męża stanu, któryby plan jej wykonał, Austrię z Niemiec usunął, małe państwa pod przewagą Prus zjednoczył? A gdy przy tem *konstytucję pruską potraktowano trochę niedelikatnie, gdy ideologów w Izbie i poza nią odpowiednio do zasług musiano usunąć nabok*, czyż nie można było potem, tak jak Ludwik Napoleon, oprzeć się na powszechnem głosowaniu? Cóż mogło być bardziej demokratyczne, niż wprowadzenie powszechnego głosowania? Czyż Ludwik Napoleon nie dowiódł, że przy należytem posługiwaniu się niem nie jest ono zupełnie niebezpieczne? I czyż właśnie głosowanie powszechne nie dawało środka apelowania do wielkich mas ludowych, kokietowania nieco nowopowstającego ruchu społecznego wówczas, gdy okazywało się, że burżuazja staje się uparta (*widerhaarig*)? (j. n. 37 n.).

Wywody powyższe nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości, że sympatje autora są po stronie Bismarcka, a zdecydowana niechęć i lekceważenie po stronie „swarliwych posłów“. Autor wytyka przecież burżuazji niekonsekwencję, zachodzącą między antybismarckowską opozycją jej posłów a jej postulatami zjednoczeniowemi, których urzeczywistnienie nie było możliwe bez wzmocnienia armji. Autor nie tylko że nie ma za złe Bismarckowi, ale całkowicie z nim solidaryzuje się w tem, że parlament potraktował zupełnie tak samo, jak Napoleon III, że wobec konstytucji pruskiej zachował się „trochę niedelikatnie“, że „ideologów w Izbie i po za nią *odpowiednio do zasług musiał* usunąć nabok“. Autor w tych swych uczuciach zarówno dla Bismarcka, jak i dla posłów posuwa się tak daleko, że opozycji posłów nie próbuje nawet usprawiedliwić okolicznością, iż armja, w owych czasach, w szerokich sferach społeczeństwa była bardzo niepopularna, że wśród burżuazji specjalnie niepopularny był korpus oficerski, ze względu na kastowy ekskluzywizm tej

1) Parlamentskrakehler zersprengte.

warstwy społecznej. Na tę niepopularność armji, jako jedną z istotnych przyczyn opozycji mieszczańskiej większości pruskiej Izby Posłów przeciwko zamierzonej reformie wojskowej, specjalnie zwraca uwagę wybitny historyk mieszczański v. Wertheimer ²⁾). Przeciwnostwość ta, zachodząca między Wertheimerem a omawianym autorem, zyskuje jeszcze niepomniernie na jaskrawości wobec faktu, że pisarzem, którego nazwisko dotąd pozostawało niewymienione, jest nikt inny, tylko Fryderyk Engels ³⁾), praca zaś, z której wszystkie, tak niedemokratyczne, militarystyczne i imperjalistyczne cytaty pochodzą, stanowi tom dwudziesty arcyradikalnej serji wydawniczej p. t. *Dzieła marksizmu - leninizmu*.

II. Stosunek do dyktatury.

Engels jest po stronie Bismarcka nie tylko w zatargu jego z liberalną burżuazją, ale również w starciu jego z konserwatywnymi junkrami, — i w tej swej solidarności przekracza wszelkie granice przyzwoitości parlamentarnej, — oświadcza się bowiem wprost za dyktaturą Bismarcka. Bezpośrednio po stwierdzeniu, że Bismarck powinien był wiedzieć, że junkry te są klasą zupełnie niezdolną do życia, że poza klasą robotniczą zdolność tę posiada tylko burżuazja, i że, wobec tego, Bismarck powinien był z Rzeszy Niemieckiej uczynić nowoczesne państwo burżuazyjne, Engels pisze co następuje: „Nie wymagajmy od niego tego ⁴⁾), co w danyh okolicznościach było dla niego niemożliwe. Natychmiastowe przejście do rządów parlamentarnych, z decydującą władzą Sejmu Rzeszy (tak jak w angielskiej Izbie niższej), nie było ani możliwe, ani nawet, w owym momencie, godne polecenia ⁵⁾). Dyktatura Bismarcka w formach parlamentarnych, musiała na początek i jemu samemu wydawać się koniecznością; zgola ⁶⁾) nie bierzemy mu za złe, że na początek ją pozostawił; zapytujemy tylko do czego można jej było użyć“ (j. w. 68 k.).

²⁾ **Wertheimer:** Bismarck im politischen Kampf. (1929) 90 str, 226 g. O późniejszym stosunku Bambergera do armji porów. Bismarcks grosses Spiel (1932). 360 k, 273 str, 290 str, 333 str, 523.

³⁾ **Engels:** Gewalt und Oekonomie bei der Herstellung des neuen Deutschen Reiches (1877?). W zbiorze rozpraw: Engels: Der deutsch-französische Krieg 1870 — 71. Hrsg. und eingeleitet von Rudolf Haus. Marxistische Bibliothek. Werke des Marxismus — Leninismus. B. 20. p. 12 sq.

⁴⁾ „muten wir ihm nicht zu“.

⁵⁾ „augenblicklich ratsam“.

⁶⁾ Keineswegs.

Powyższe przyzwolenie Engelsa na to, że nawet po ustanowieniu Sejmu Rzeszy Bismarck nadal przez pewien czas sprawować będzie dyktaturę, pozostaje w całkowitej zgodzie z tem wszystkim, co Engels pisał o znakomitej wyższości żelaznego kanclerza nad swarliwym parlamentem pruskim z okresu konfliktu. Godna też jest zaznaczenia okoliczność, że na zmianę tego stanowiska Engelsa nie wpłynął nawet fakt, iż między Sejmem Rzeszy a Sejmem pruskim zachodziła ta bardzo istotna różnica, że pierwszy z nich wychodził z czteroprzymiotnikowych wyborów. Ten to właśnie sposób wyborów sprawił, że Engels idealizował Sejm Rzeszy bardzo ponad jego istotną wartość, — później zaś, w imię tegoż to Sejmu, wyrzekł się nawet rewolucji.

*

W tej swej lekceważącej niechęci do swarliwej opozycji gadułów i w estymie dla Bismarcka, jako genialnego człowieka czynu, Engels bynajmniej nie jest odosobniony w obozie niemieckiego socjalizmu naukowego. Nie inne jest również stanowisko Lassalle'a, który w czasie jednej ze swych konferencji z Bismarckiem oświadczył: „Jeżeli król pozwoli Schulze - Delitsch'owi i kompanji nakłonić się do zstąpienia z jednego tylko stopnia tronu, wówczas z pozostałych go się zrzuci“⁷⁾.

Powyższa poufna enuncjacja Lassalle'a świadczy nietylko o całkowitej zgodności poglądów Lassalle'a i Engelsa na pruski konflikt konstytucyjny, lecz nie pozostawia też żadnej wątpliwości co do tego, że Lassalle, zalecając Wilhelmowi I nieustępliwość, ma na względzie rolę, jaką nieustępliwość ta odgrywa w próbie sił między koroną a opozycją. Lassalle kieruje się tedy względami nietylko rzeczowymi, ale również i rozgrywkowo - prestige'owymi. Z tego to powodu Lassalle będzie też za wojną z Danją, lassalle'owcy zaś nawet za wojną z Francją, a więc za imperjalizmem politycznym.

§ 12. LIBERALIZM BURŻUAZYJNY W OBRONIE LIBERALIZMU I ANTYMILITARYZMU W CZASIE PRUSKIEGO KONFLIKTU KONSTYTUCYJNEGO.

I. Polityczna strona pruskiej reformy wojskowej.

Była już mowa o tem, że to zsolidaryzowanie się Engelsa z Bismarckiem w sprawach militarystyki, antyparlamentaryzmu i hasła „siła przed prawem“ jest tembardziej uderzające, że ówcześni liberałowie zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństw *politycznych*, wynikających z takiego zsolidaryzowania się. Bardzo przekonująco opisuje to Wertheimer. Oto jego wywody: Dnia 7 października r. 1858 w Prusiech objął rejencję książę Wilhelm, przyszły cesarz Wilhelm I, w sferach wyznawców roku 48-ego nazy-

⁷⁾ **Gustaw Mayer:** Bismarck u. Lassalle. Ihr Briefwechsel u. ihre Gespräche. Berlin (1928) 23 k. Dietz.

wany „księciem kartaczownic“. Pomimo to właśnie wraz z jego rejencją rozpoczęła się t. zw. „Nowa era“ która zaprowadziła rządy liberalne. Dotychczasowy rząd Manteuffla ustąpił i władzę objął gabinet Antoniego von Hohenzollern - Sigmaringen. Skład rządu był wyjątkowo różnorodny, w swem gronie liczył też kilku liberałów, jednakże kierunek jego miał być konserwatywny w dobrem znaczeniu tego słowa (Werth. 88k). Zgodnie też z tem, w programie swym z dn. 8.11.58 rząd przyznał się do wiary w zasady konserwatywne. Nowy rząd przyjęło życzliwie⁸⁾.

Obóz, który doszedł wówczas do władzy przewano partją *Tygodnika Pruskiego* (*Preussisches Wochenblatt*) (Werth. 89g). Nazwa pochodziła stąd, że od stronnictwa konserwatywnego odłączyła się niewielka grupa konserwatystów umiarkowanych, która założyła *Tygodnik Pruski*, co było wypowiedzeniem walki *Gazecie Krzyżowej* (*Kreuzztg.*). Z nowym tym tygodnikiem sympatyzował zarówno książę Wilhelm, jak i żona jego Augusta⁹⁾.

Niebawem odbyły się wybory do pruskiej Izby posłów, na które rząd żadnego wpływu nie wywierał. Sejm zebrał się w lutym r. 1859. Z wyborów wyszła bardzo (*stark*) umiarkowana liberalna większość, która z dumą uważała się za stronnictwo rządowe (Werth. 89g). Większość domagała się od rządu polityki zdecydowanie liberalnej nawewnątrz, — nazewnątrż zaś narodowej. Jednakże zgoda trwała niedługo. Tym, który już w styczniu r. 1859, a więc jeszcze przed zebraniem się nowoobranej Izby, — sceptycznie wypowiedział się o widokach tej zgody był właśnie Bismarck (Werth. 89śr). Niebawem doszło też do tak ostrego konfliktu z Izbą posłów, że omalże nie doprowadził on do abdykacji Wilhelma. Przyczyną stała się właśnie sprawa reformy armji. Zgodnie z ustawami z r. 1814 i 1815, każdy zdrowy mężczyzna od 20 do 50 roku życia obowiązany był do służby w wojsku, z tego *trzy* lata w armji stałej (*stehendes Heer*), w rezerwie — dwa, pozostały czas w pospolitem ruszeniu pierwszej (*Landwehr*) i drugiej kategorii (*Landsturm*). Ze względów oszczędnościowych w r. 1833 okres trzyletni skrócono o rok. Książę regent był jednak głęboko przekonany, że tylko przez przywrócenie służby trzyletniej wytworzyć będzie można prawdziwego ducha żołnierskiego¹⁰⁾, który wyłącza wszelkie polityczne myśli uboczne i zapewnia całkowite poddanie rozkazom zwierzchnika (Werth. 90g.). To dążenie do

⁸⁾ **Martin Philippson:** Max von Forckenbeck 129 — Werth. 89 g. 545 N. 10.

⁹⁾ Na czele nowej grupy stał wybitny prawnik Moritz August v. Bethmann-Hollweg, — dalej należeli do niej Rob. v. d. Golz, Alb. Pourtalès i wierny wyznawca ministra Radowitza, zmarłego w r. 1853 — radca Mathis (Werth. 545. Nr. 11).

¹⁰⁾ **Kaiser Wilhelm der Grosse:** Militärische Schriften. 1/142; 2/128. Werth. 90 g, 546 N. 14.

apolityczności armji miało jednak cele wybitnie polityczne, mianowicie wewnętrzno - polityczne. *Wilhelm chciał z wojska zrobić broń przeciwko rewolucji* (Philippson 52 — Werth. 90, 546 N 15). Możliwie jaknajdalej posunięte zbliżenie do żołnierstwa zawodowego miało sprawić, że duch armji stanie się pewny (*verlässlich*). Pod wpływem wspomnień z czasów rewolucji *Wilhelm Landwehre uważał za niepewną*. Dlatego odtąd ćwiczyć ją mieli nie wyłącznie oficerowie Landwehry, lecz oficerowie linjowi ¹¹⁾.

Landwehra, jako urządzenie demokratyczne, była przez konserwatystów znienawidzona i obawiano się też, że poglądy demokratyczne przenikać będą od niej do armji stałej; dlatego też istniało dążenie do *oczyszczenia* jej od takich nastrojów. *Ale tego właśnie nie chciały żywioły myślące liberalnie* i domagały się, by Landwehra pozostała nietknięta, powoływały się one na jej pełną chwałę przeszłość i widziały w niej ogniwo, łączące lud z *armją niepopularną*, naskutek ekskluzywnego ducha korporacyjnego oficerów zawodowych. Żywioły te degradowanie i zmniejszanie liczebności Landwehry ¹²⁾ uważały za zarządzenia *nawskroś reakcyjne* (Philippson 54 n. — Werth. 90śr. 546 N. 17). Jednakże przeciwstawieniem do tego było zarówno to, co osiągnąć miano przez całkowite urzeczywistnienie powszechnej służby wojskowej, z trzyletniem trwaniem, o czem liberałowie nie chcieli nic wiedzieć, — jak i zastąpienie Landwehry w armji polowej przez rezerwistów. Zamierzone było też utworzenie nowych pułków dla 23.000 rekrutów, którzy wolni byli od służby, z powodu tego, że w międzyczasie ludność wzrosła. Okres pozostawania w rezerwie przedłużony miał być z 2 na 5 lat. Miało to z jednej strony zwiększyć bitność armji, z drugiej zaś skrócić trwanie mobilizacji. Urzeczywistnienie reformy musiałoby zwiększyć budżet armji o 9 milionów talarów (Werth. 90).

*

Stronę polityczną zatargu o reformę bardzo dosadnie i szczerze scharakteryzował też Schulze - Delitsch w twierdzeniu, że trwały rozwój stosunków konstytucyjnych możliwy jest tylko wówczas, gdy za parlamentem stoi wojsko ludowe ¹³⁾. Przewodniczącym honorowym tego zlotu był jeden z panujących książąt niemieckich — Ernest II kobursko - gotajski, który też piśmiennie zachęcał opozycję, by w oporze swym wytrwała (105k).

¹¹⁾ **Fritz Löwenthal:** Der preussische Verfassungskampf, **Ludw. Bergsträsser:** Kritische Studien zur Konfliktzeit. Hist. Vierteljahrsehr. 19/350. Werth. 90, 546 N. 16.

¹²⁾ Herabsetzung u. Verminderung der Landwehr.

¹³⁾ Z przemówienia na zlocie strzeleckim, który odbywał się we Frankfurcie w dn. 11 do 22 lipca r. 1862 — Werth. 105 n.

Również ściśle katolicko - prawowierny poseł August Reichensperger był zdania, że w konflikcie pruskim „w rzeczywistości idzie o fryderycjańskie państwo *militarne* i o resztę władzy *króla*“ (Werth. 128 śr.). Obie walczące strony Reichensperger darzył równą niechęcią: „Bismarck i jego polityka jest mi nawskroś (*durchaus*) antypatyczna“, jednak i antagonistom Bismarcka zarzuca on „obłudny radykalizm, którego triumf, przy panującym zamięcie umysłów, byłby czemś najgorszym“ (j. w.)

Na polityczną istotę ówczesnego pruskiego państwa militarnego bardzo wyraźne światło rzucają poniższe wywody Fryderyka Wilhelma IV: „Organizacja armji i systemu obrony kraju jest wyłącznie rzeczą korony, i tego w konstytucji wyraźnie przyznanego prawa nie myślę dać sobie ograniczyć. Jeżeli Izba mniema, że nie może uchwalić w całości sum, wymaganych przez budżet wojskowy, to ja sam mam już decydować, w jaki sposób należy osiągnąć oszczędności, które stają się przez to potrzebne, i nie będę godzić się na to, by mi wydawano przepisy ¹⁴⁾, przy których tytułach budżetu wojskowego żądania te (*die Erfordernisse*) mają być wykonane. *Wszelką uchwałę, dotyczącą poszczególnych tytułów budżetu wojskowego, uważać będę za bezskuteczną i oczekuję, że moi ministrowie mnie w tem poprą*“. (List z dn. 9.3.51 do Manteuffla — Werth. 91, 546 N. 18).

Księżę regent „pozostawał w wewnętrznej harmonji z (powyższym) poglądem swego brata, aczkolwiek żywił zamiar, iż postępować będzie konstytucyjnie (Werth. 91g). Kwestja „niedozwolonego mieszania się parlamentu do władzy cesarza, jako komenderującego“ armją (*Befehlsgewalt des Kaisers*) stała się też i później powodem poważnego konfliktu, który w grudniu r. 1906 doprowadził do rozwiązania Sejmu Rzeszy ¹⁵⁾.

II. Opozycja polityczna a sprawa zwycięstwa w wojnie r. 1866.

Najściślejszy związek polityki nietylko z armją, ale nawet ze zwycięstwem w wojnie z Austrią, zarysował się też wówczas bardzo dosadnie — chociaż, jak Wertheimer słusznie mniema, że sądząc na podstawie istniejących materiałów ¹⁶⁾, w Berlinie i w Prusiech wogóle w przeddzień wybuchu wojny z r. 1866 „właściwie panować musiał prawdziwy chaos“ (228 śr.). W chaosie tym jednak nie brak właśnie nader znamiennych momentów,

¹⁴⁾ Ich habe mir keine Vorschriften darüber machen zu lassen.

¹⁵⁾ **Egelhaaf:** *Geschichte der neuesten Zeit* (1918) 499 g.

¹⁶⁾ Wertheimer opiera się przeważnie na raportach, jakie agent austriacki przesyłał swemu rządowi z Berlina. Sądząc ex post dojść się musi do wniosku, że informator ten dobrze orjentował się w sytuacji i że miał dobre wiadomości.

dotyczących nie tylko politycznego stosunku do armji, ale nawet losów zwycięstwa w przyszłej wojnie.

Dn. 21.3.66 wymieniony agent austriacki donosił o nastrojach ludności Berlina: „Ostatnie wiadomości, które nadeszły tu w sprawie zbrojeń Austrii wywołały we wszystkich mieszczańskich sferach prawdziwe przeżenie. *Wojna pod rządami ministerjum Bismarcka, zarówno w Berlinie, jak i w całych Prusach*, jest tak niepopularna, jak to tylko możliwe“ (Werth. 200 g.). „O jakimś oddaniu się¹⁷⁾ celom wojennym tu, w Berlinie, nie może być zupełnie mowy. Dominiujące tu stronnictwo liberalne *Prusom pod obecnym régime'm życzy największych klęsk*“ (200 śr.). — „Panuje tu przekonanie, że wkońcu lud pruski będzie musiał „wóz wyciągać z błota“, potem jednak domagać się będzie za to nagrody, *obali junkrów — i król zmuszony będzie do rządzenia tylko w zgodzie z ludem*“ (Werth. 200 k.).

Przytoczona informacja wprost stwierdza, że stosunek zarówno ówczesnych liberałów, jak i „ludu“ nawet do zwycięstwa w wojnie z Austrią ukształtował się nawskroś i wyłącznie politycznie, i że na tę polityzację nie nie wywierało nawet najmniejszego hamującego wpływu. Jednakże pruscy liberałowie w r. 1866 nie byli gorsi, niż Bismarck w r. 48. Byli oni przeciwni zwycięstwu Prus w wojnie z Austrią, jeżeli ma ono być dziełem reakcji i Bismarcka. Bismarck w r. 48 był przeciwny zjednoczeniu Niemiec, jeżeli miało ono być dziełem rewolucji. Zupełnie taką samą obserwację, dotyczącą stosunku opinii publicznej, wiadomy agent komunikuje ponownie w związku z niechęcią, jaką w ludności wywoływały ówczesne pacyfistyczne dążenia króla i dworu.

*

Zarówno Wilhelm I, jak i następca tronu „ciągle pragnęli pokoju i wprawiali wszystkie siły w ruch, aby go utrzymać. Ojciec i syn nieomal codziennie odbywają narady z pastorami i naczelnymi dworskimi kaznodziejami. Wszystko to pociąga za sobą ten skutek, że rodzina królewska w opinii publicznej wiele straciła na szacunku“ (Werth. 225 śr.).

Jakie były motywy tego wrogiego ustosunkowania się opinii publicznej do dążeń pacyfistycznych dworu? Oto takie, że wtedy „również i mieszczanie rozumieli, że wojna musi być teraz prowadzona z całą energją, i również z prowincji, między innemi z Wrocławia, nadchodzą do króla liczne podania, w których wyrażona jest gotowość do wszelakich możliwych ofiar, jednakże wystawiane są też żądania, żeby przedtem rozwiązano konflikt w Prusiech. (Raport z dn. 15.5.66. Werth. 225 śr.).

¹⁷⁾ Hingebung.

Jednakże te kompromisowe tendencje prowincji, która dąży do zakończenia konfliktu z rządem Bismarcka, a więc bynajmniej nie dąży do bezwarunkowego jego obalenia — nie są dominujące. Raczej naodwrot: „Nas skutek panującej niepewności, w której monarcha nie mógł zdobyć się na żadne definitywne postanowienie, czarnowidztwo coraz bardziej opanowywało nastroje. Uważano, że jest znacznie bardziej prawdopodobne, że pókój podyktuje Benedek (wódz austriacki) w zamku berlińskim, niż książę pruski Fryderyk Karol w wiedeńskim burgu. Wiara ta znajduje codziennie wyraz na giełdzie, gdzie papiery austriackie, aczkolwiek umiarkowanie, stale zwyczajują, podczas gdy papiery (*Fonds*) pruskie zniżują. Prawie wszystkie klasy ludności Berlina opanowało przekonanie, że Prusy muszą być nasamprzód pobite, zanim ich polityka oprze się na innych podstawach.

Jednocześnie żyło się w obawie, że gdy wojska odniosą zwycięstwo, wówczas pycha pruskich junkrów nie będzie już miała żadnych granic i reakcja po wojnie rozpierać się będzie znacznie bardziej niepohamowanie, niż przed wojną. Aczkolwiek nikt nie ukrywa przed sobą niedoli (*Elend*), która by nastąpiła, gdyby Austriacy wkroczyć mieli do Berlina, „to jednakże znaczna większość¹⁸⁾ w przypuszczalnych klęskach armji pruskiej widzi pewną satysfakcję za złe rządy¹⁹⁾, jakie lud pruski znosił“. (Z raportu agenta austriackiego — Werth. 225 n.).

III. Walka opozycji liberalnej o Landwehrę.

Dn. 1.6.66 agent austriacki donosił, że członkowie partji postępowej, w sposób najbardziej uroczysty, zapewniają się wzajemnie, że nie uchwalą ani jednego feniga, dopóki Bismarck pozostanie u władzy, licząc przytem na mocne poparcie Landwehry (Werth. 228 k.). W tym samym czasie agent słusznie, zdaniem Wertheimera, stwierdzał, że „wszystko, co jest pruskie prze naprzód“. Pod wpływem takich nastrojów, Wilhelm I zaniechał swej opozycji przeciwko wojnie i korpusowi gwardji wydał rozkaz wymarszu (229 k.).

Na to, jaki był wówczas społeczny charakter zarówno armji stałej, jak i Landwehry, bardzo wyraźne światło rzucają uwagi agenta austriackiego w związku z objawami ruchów rewolucyjnych, skierowanych przeciwko rządowi Bismarcka. Agent donosi mianowicie swemu rządowi, że w Prusiech ludność coraz bardziej godzi się z myślą, że zwycięstwo ich „okupione być musi najstraszniejszymi ofiarami i że do tego czasu (*bis dahin*) obecny system rządzenia, zarówno nawewnątrz jak i nazewnątrz, musi być

¹⁸⁾ Die meisten.

¹⁹⁾ Missregierung.

usunięty. O tem ostatniem rząd nie myśli nawet w najmniejszym stopniu“ (Werth. 229 k.).

Ten to opór rządu staje się przyczyną poważnego wrzenia, gdyż „głosy za obaleniem ministerjum mnożą się, — oświadczają się za tem najbardziej poważani ludzie we wszystkich prowincjach“ (230 g.). — „Postawa rezydencji przy szerzącej się nędzy²⁰⁾ staje się stopniowo groźna (*bedrohlich*). Już dnia 4 czerwca doszło do bardzo znacznego tumultu — zarówno przed ratuszem, jak i na jednym z przedmieść Berlina. Tysiące robotników krzyczą o chleb i aby powściągnąć wzburzenie²¹⁾, musiano zmobilizować całą policję, pieszą i konną“. „Niezadowolenie wzrasta jednak z każdym dniem, gdyż wśród ludu panuje naogół przekonanie, że Prusy są właściwym sprawcą obecnego niebezpieczeństwa wojny, a Bismarck winien jest wszystkiemu. Głodni lekarze, referendarze, technicy i in. mieszają się z niezadowolonymi, i gdy *armję regularną* całą usunie się z Berlina, a *Landwehra* sama tu stać będzie, wówczas tumulty bezwątpienia staną się o wiele bardziej poważne (*bedeutend*), a wołanie „precz z ministerjum“ rozlegać się będzie coraz głośniej“. (Raport z dn. 5.6.66. Werth. 230).

Przyczyną tego wrzenia była okoliczność, że nędza w Berlinie „wzrosnąć miała strasznie“. Wiadomy agent pisał, że „tysiące rodzin naskutek kryzysu wojennego straciły chleb. Rodziny, których mężczyzn powołano, otrzymują *tygodniowo* tylko 50 groszy do talara i to też tylko wtedy, gdy bieda (*Not*) naprawdę jest“. Aby nędzę złagodzić, policja berlińska wielokrotnie z największym naciskiem zwracała się do ministerjum o pomoc. Obcych robotników wysiedlono, swoim (*heimischen*) zaś zapewnić ma zarobki budowa nowego kanału oraz zburzenie berlińskich murów miejskich“ (Werth. 228 n.).

Bardzo godne jest uwagi stanowisko, jakie wobec ostatniego planu zajęła berlińska rada miejska, „opanowana przez partję postępową“ (Werth. 229 g.): „filisterska“ ta rada nic o tem wiedzieć nie chciała. Fakt ten rząd skwapliwie wyzyskuje, aby zebrać dla siebie możliwie dużo kapitału przeciwko postępowej radzie miejskiej. Również panie z wyższego towarzystwa, z hrabiną Bismarckową na czele, starają się o złagodzenie nędzy.

Nie należy przypuszczać, że agent austriacki tendencyjnie przejawia sytuację. Bynajmniej, w tym samym raporcie w sposób najbardziej stanowczy oświadcza on, że poprostu zmyślona jest wiadomość podana przez gazety, iż dobrze ubrani młodzieńcy poprowadzili demonstrację robotników pod zamek króla. Poczem oświadcza: „Rewolucyjne zachcianki zeszyły teraz

²⁰⁾ Um sich greifenden Not.

²¹⁾ Dämpfung des Tobens.

całkowicie na plan dalszy“²²⁾. (Raport z dnia 2 czerwca r. 1866. — Werth. 229 śr. 557 N. 87). Dopiero w późniejszym raporcie, z dn. 5 czerwca podaje on powyższy opis rozruchów.

IV. Bismarck już w r. 1850 przeciwstawia armję parlamentowi, demokracji i liberalizmowi.

Bismarck sam już w r. 1850 walczył przyczynił się do tego, żeby w demokratów wpoić przekonanie, że armja pruska nie jest i nie będzie ani parlamentarna, ani demokratyczna, tylko wyłącznie królewska. Temu swemu przeświadczeniu dał on wyraz w ostatniej swej mowie, wygłoszonej w charakterze posła. Mowa ta była odpowiedzią na „hańbę ołomuniecką“ z tegoż 1850 roku. Wtedy to Manteuffel w imieniu Prus, na żądanie Mikołaja I, zrzekł się dążeń do zjednoczenia Niemiec pod prezydencją Prus i przystał na żądanie Schwarzenberga, domagającego się restytuowania frankfurckiego Sejmu związkowego pod przewodnictwem Austrii. Sejm ten Prusy w r. 48 opuściły²³⁾, i jeszcze w r. 1850 odmówiły w nim udziału (j. w. 129 g.).

Całe Prusy, nie wyłączając mas ludowych, zawrzały oburzeniem, domagały się nie tylko ustąpienia Manteuffla, ale wręcz parły do wojny (Ludwig, 132 g.). W odpowiedzi na to Bismarck wygłosił wymienioną mowę. Oto jego wywody:

Zdumiewające jest, że o honorze Prus mówi się właśnie wśród liberałów: „Jednakże uczynienie z wojska pruskiego, które 19 marca (r. 1848)... zgodziło się na rolę pobitego, — wojska parlamentarnego — nie uda się wam; pozostanie ono zawsze wojskiem króla i honoru swego szukać będzie w posłuszeństwie. Armja pruska, Bogu dzięki, nie ma potrzeby dowodzenia swej odwagi. Honoru Prus doszukują się w tem, że Prusy przedewszystkiem trzymają się zdala od wszelkiego haniebnego związku z demokracją“ (Ludwig, 133).

§ 13. LUDNOŚĆ A ARMJA W PRUSIECH.

I. Stosunek mas ludności do armji.

Stosunek ludności Berlina do armji w czasie rewolucji marcowej r. 48, w sposób nader godny uwagi, opisuje Waldersee, późniejszy następca wielkiego Moltkego na stanowisku szefa Sztabu generalnego. Waldersee w marcu r. 48 liczył wprawdzie niecałe 16 lat (urodził się 8.4.32), widział jednak wiele ważnych rzeczy na własne oczy, gdyż wychowywał się wówczas w korpusie kadetów w Berlinie, a zaraz po wybuchu rozruchów w dniu 18 mar-

²²⁾ Hintergrund.

²³⁾ Ludwig: Bismarck. Geschichte eines Kämpfers (1927) 132 g.

ca rozpoczęła się strzelanina przed gmachem, przylegającym do pomieszczenia korpusu kadetów, — mianowicie przed koszarami pułku Franciszka. Na przyczynę strzelaniny właśnie w tem miejscu nader charakterystyczne światło rzuca następująca informacja Walderseego: „Kursowała pogłoska, że chcą wytepić korpus kadetów, to gniazdo reakcji“²⁴).

Do urzeczywistnienia zamiarów żywionych wobec „gniazda reakcji“ nie doszło jednak, gdyż niebawem nadesłany bataljon I-go pułku gwardji „odwrócił od nas wszelkie niebezpieczeństwo“ (j. w.). Że armja ówczesna i rewolucja stanowiły dwa wrogie sobie światy, o tem świadczy też fakt, że „w pierwszych czasach (rewolucji) nasi oficerowie udawali się do miasta *wyłącznie w ubraniu cywilnem*“ (Wald. 1/5 k.); również charakterystyczna jest okoliczność, że wychowankowie korpusu kadetów „bardzo rzadko otrzymywali prawo wychodzenia (na miasto), często więc próbowano robić to po cywilnemu“. Jeszcze 14 kwietnia „nie chciano nas pokazywać na ulicach“ (6 g.) i dlatego to konfirmacja Walderseego, która dnia tego odbyła się, odprawiona była „nie jak zwykle w kościele garnizonowym, lecz w sali modlitw korpusu kadetów“. Jeszcze wówczas ojciec Walderseego „nie mógł narażać się na ryzyko przybycia“ na tę uroczystość (6 g.). Waldersee - ojciec opuścił Berlin wraz z jego ewakuowaniem przez armję po powstaniu z 18 marca (Abmarsch von Berlin (5 g.) i został zakwaterowany w Poczdamie, w którym „wogóle roіło się od uciekinierów z Berlina“. Gdy wojska do Berlina powróciły (9.11.48), „wróciła tam też moja matka, natomiast ojciec mój musiał pozostać w Poczdamie“ (5 k.). Wobec takich stosunków między armją a rewolucją jest zupełnie zrozumiałe, że gdy Fryderyk Wilhelm IV dnia 25 marca przejeżdżał przez ulice Poczdamu w otwartym powozie i „w kapeluszu z pióropuszem przy czarno - białej kokardzie miał szarfę czarno - czerwono - złotą — sprawiło to głębokie wrażenie. Po raz pierwszy bowiem widziano to w Poczdamie u żołnierza“ (5 śr.).

II. Skład społeczny korpusu oficerskiego.

O składzie społecznym pruskiego korpusu oficerskiego na wiosnę roku 1849 Waldersee informuje w sposób następujący: W artylerji korpus ten „w *jaknajwiększej części*“²⁵) składał się z *żywiółów mieszczańskich*; w gwardji było nieco inaczej: tam pułk liczył około 50 oficerów szlacheckiego pochodzenia, wobec 30 — mieszczańskiego; Waldersee opowiada też o sobie, że z tego powodu „w armji wywołało to pewne poruszenie“²⁶), że zostałem ar-

²⁴) **Waldersee:** *Denkwürdigkeiten* hrsg. v. H. O. Meisner 1 (1922) 4 g: „man wolle... diese Brutstätte der Reaktion ausrotten“.

²⁵) Zum weitaus grössten Teil.

²⁶) Aufsehen. Waldersee pochodził wprawdzie z zupełnie zbankrutowanego, ale zato z bardzo hrabiowskiego i nader wysoko ustosunkowanego rodu.

tylerzystą“ (1/7 śr.). Stało się to właśnie na wiosnę r. 1849 (27.4), kiedy Waldersee otrzymał nominację na nieetatowego podporucznika w pułku artylerji gwardji.

W owym czasie w połowie lat czterdziestych, gdy Berlin liczył tylko 350.000 mieszkańców, kolei było mało, a parlamenty nie istniały, „nie istnieli też jeszcze „wielecy przemysłowcy, a o bankierach nie było jeszcze mowy, że mogliby być dopuszczeni do towarzystwa. Pierwszym, który w latach pięćdziesiątych zaczął nawiązywać kontakt z poszczególnymi rodzinami wyższego towarzystwa²⁷⁾, był Marcin Magnus, zresztą człowiek taktowny“ (1/2 n.)

Wyższe towarzystwo z prowincji na zimę udawało się nie do Berlina, lecz do głównych miast swych prowincyj, gdzie liczne rodziny miały swe domy, i tam też, jak to się technicznie mówiło, „prowadziły dom“. Tak działo się w Królewcu, Wrocławiu, Poznaniu, Szczecinie, w Monasterze i Düsseldorfie.

III. Stosunki w armji.

Według Walderseego, w latach następujących bezpośrednio po rewolucji r. 48 „naskutek wydarzeń z r. 48 i 49, małych wojennych epizodów w Szlezwigu i Badenji i licznych dyslokacyj — w armji panował duch świeży, ale też i ton nieco gruby, czasami też nieobyczajny²⁸⁾. Dla ośmnastoletniego młodzieńca nie było tam rzeczą łatwą wszystko to przeżyć, ja sam zaś później byłem *zdułony*, że mi się to udało. Groziło *wiele niebezpieczeństw* (*Klippen*); jedno z nich stanowiło obfite, często *dzikie* (*wüst*) *picie*, przyczem w mym godnym szefie baterji miałem jaknajgorszy przykład. Na służbie niewiele się też ceremonjowano; w szczególności starsi podoficerowie, którzy nierzadko byli pijakami, chętnie usiłowali wywyższać się przez używanie ordynarnych zwrotów i wymysłów; jednakże również i oficerowie poniewierali podwładnych wymysłami²⁹⁾. Czynne zniewagi (*Misshandlung*) zdarzały się chyba *rzadziej, niż w czasach późniejszych*, według mego przekonania dlatego, że wtedy mieliśmy jeszcze starszych i lepszych podoficerów. W owych czasach miało też dla mnie *nieocenioną wartość*, że rodzice moi mieszkali w Berlinie“ (1/7 n.), czyli że los tych wojskowych, którzy skazani byli wyłącznie na służbowe i towarzyskie stosunki z kolegami i przełożonymi, był pożałowania godny.

IV. Niepopularność armji a popularność floty.

Niezmienna niepopularność armji występuje wyraźnie w zestawieniu z popularnością, jaką cieszyła się flota. „Nigdy ze strony parlamentarnej

²⁷⁾ Vornehme Gesellschaft.

²⁸⁾ Roher, manchmal wüster.

²⁹⁾ Mit Schimpfreden misshandelten.

nie zapoczątkowano wzmocnienie wojska, co przez mężów zaufania centrum i narodowych liberałów stało się z flotą, jesienią r. 1907³⁰⁾. Ci mężowie zaufania zakomunikowali Urzędowi marynarki, że większość Sejmu Rzeszy oczekuje projektu flotowego w r. 1908. Tirpitz dodaje, że nie potrafi już orzec, jak dalece na krok ten wpłynęły również względy natury wewnętrzno-politycznej, stwierdza jednak, że „krok ten silnie odbiegał od zwykłego w Sejmie Rzeszy traktowania spraw zbrojeniowych“ (47 g.).

Popularności floty dowodzi fakt, że ustawę flotową z r. 1908 Sejm Rzeszy przyjął bardzo znaczną większością, oświadczyło się za nią również Stronictwo Postępowe; Sejm Rzeszy przy drugim czytaniu zrezygnował ostatecznie z debat, a *do rezygnujących należeli również i socjaliści* (Tirpitz, *Aufbau* 47 str.).

Z powyższym faktem, że powiększenie floty zapoczątkowały żywioły parlamentarne, i to w dodatku zarówno liberalne, jak i poniekąd liberalizujące (centrum), zestawień należy fakt inny — ten mianowicie, że „pobudka (*Anregung*) do wzmocnienia armji lądowej, jaką stanowiło pismo kancлера Bülowa z dn. 1.6.06, „była, od czasów Bismarcka, pierwszą i *ostatnią*, jaką podjęło kierownictwo *polityczne*“ (Collenberg, 170 n.). Nawet tedy władze cywilne w owym czasie ujawniały wyjątkową powściągliwość w zakresie zbrojeń lądowych, — nic tedy dziwnego, że, przy ówczesnem nastawieniu Sejmu Rzeszy, żywioły parlamentarne były conajmniej równie powściągliwe. Uderzająca jest tedy różnica, jaka znamionowała stosunek tych żywiołów do armji lądowej, z jednej strony, do floty zaś — z drugiej³¹⁾.

Dla całości obrazu dodać należy, że Bülow, w lutym r. 1907, oświadcza nawet, iż „myśli o oszczędnościach w budżecie wojskowym“, i że oświadczenie to złożył bez porozumienia się z ówczesnym ministrem wojny, jen. v. Einemem (Collenberg 170 k.).

V. Engels a kwestje powyższe.

Jest rzeczą niewątpliwą, że wszystkie powyższe liberalne wątpliwości są ważne, z punktu widzenia pryncypialnego antimilitaryzmu³²⁾, pryncypial-

³⁰⁾ **L. R. v. Collenberg:** *Fürst Bülow u. die Entwicklung der deutschen Wehrmacht* — w zbiorze *Front wider Bülow* hrsg w. **Thimme** (1931). 162 N 2. Też **Tirpitz:** *Der Aufbau der deutschen Weltmacht* (1924) 46 n.

³¹⁾ O przyczynach popularności floty **Monts:** *Erinnerungen u. Gedanken* (1932) 196. **Bethmann-Hollweg:** *Betrachtungen zum Weltkrieg* 1/92.

³²⁾ „Nigdy ze strony parlamentarnej nie zapoczątkowano wzmocnienia wojska”. Dotyczy to okresu już znacznie późniejszego — przed r. 1908.

nego poszanowania jednostki, pryncypialnej ludowości, której wyrazem był już sam tytuł ówczesnego oficjalnego organu stronnictwa socjalistycznego *Volksstaat*, — a więc ze stanowiska tych wszystkich zasad, do których ówczesny marksizm przywiązywał przecież niemniejszą wagę, niż ówczesny liberalizm. I nagle wszystkie kardynalne te dobra znikają bez śladu pod piórem Engelsa i ustępują miejsca oświadczeniu jego, że „nie bierzemy (Bismarckowi) za złe, iż na początek (dyktaturę swą) pozostawił; zapytujemy tylko, *do czego można jej było użyć*“ (j. w.).

Polityka „tolerowania“ przez socjalistów dyktatury, sprawowanej przez rozporządzenia doraźne, wydawane z jaskrawem pogwałceniem konstytucji wajmarskiej — może się więc powołać na niebylejaki precedens! Ale to wszystko razem ma równie mało wspólnego z demokracją polityczną, jak i z praworządnością³³⁾.

³³⁾ W dwóch pierwszych częściach niniejszej pracy dostrzeżono kilka omyłek, które prostujemy: str. 201, w. 9 od dołu, zamiast: „jest ochrona“, powinno być: „nie jest ochrona“; str. 205, w. 14 od góry, zamiast: „69 milionów“ powinno być: „69 miliardów“; str. 212, w. 16 od góry, zamiast: „drogą“ powinno być: „drogę“; str. 325, w. 3 od dołu, zamiast: „faktycznie“ powinno być: „taktycznie“.

S Z T U K A

WYSTAWA POLSKIEJ SZTUKI GOTYCKIEJ W I. P. S.

Wystawa polskiego gotyku, imponująca — dzięki chlubnemu wysiłkowi inicjatorów i organizatorów przyjęta ze szczerym entuzjazmem przez publiczność, zyskała również uznanie krytyki i znawców. Te kilka słów, które o niej powiem, będą to proste słowa współczesnego widza — plastyka, który ją na swój sposób przeżył i przemyślał. Napisano o niej dużo uczonych opinii, wiele tak bardzo zasłużonych superlatywów, wystawa stała się poniekąd odkryciem, rewelacją. Nie wiadano, że „u nas w Polsce“... i że „właśnie tak świetnie“... etc. etc. Nie dostrzeżono tylko jednego, mianowicie: jak bardzo bliska jest sztuka gotyku współczesnemu artyście — i to właśnie w samym najistotniejszym stosunku do rzeczywistości. Przyjrzyjmy się wystawie; więc: rzeźby — żadnej realistycznej logiki ruchu, jedynie logika konstrukcyjna samej rzeźbiarskiej bryły, poza tem szczegóły: duże głowy, wąskie ramiona, wydłużone postacie, długie wąskie ręce. Obrazy — zamiast nieba, złote tła wytłaczane, na nich architektura czy pejzaż w proporcjach potrzebnych dla kompozycji obrazu mało mających wspólnego z proporcjami rzeczywistości, na pierwszym planie — figury działające, znów mało mające wspólnego z proporcjami realistycznymi, nie związane z tłem, wszystko razem natomiast uzgodnione i silnie skonstruowane płaską linearną logiką kompozycji.

Czyżby deformacja — tak bardzo we współczesności plastycznej lubiane słowo? Nic podobnego, poprostu celowe posługiwanie się widzianą rzeczywistością. Na pierwszym planie logika kompozycji — dzieło sztuki, jako autonomiczna całość, powstające według własnych, przez artystę stworzonych praw. Natura, podpatrywana bacznie, spostrzegawczym okiem, potrzebna jedynie do mniej lub więcej umiejętnego opowiedzenia szczegółów. Wiadomo, że to świadome abstrakcyjne komponowanie ma swoje głębokie uzasadnienie w samej psychice średniowiecznego człowieka. Sztuka gotyku jest przeważnie sztuką religijną; to samo już narzuca tysiące ograniczeń tematycznych, pewne wymagania co do takiego bądź innego przedstawienia danej świętej figury czy momentu, niekiedy nawet obowiązująca ścisłość teologiczna. Jeżeli weźmiemy poza tem pod uwagę, że Bóg w średniowieczu był tym Bogiem wielkim — dalekim, groźnym i świętym, karzącym i przebaczącym, a nie Bogiem na miarę ludzką, jakim go chce widzieć później renesans czy barok, nie trudno zrozumieć, że i obraz opowiadający o tym Bogu musiał być niejako odczłowieczony. Dowodem, że średniowieczny artysta szukał plastycznego języka na opowiedzenie Bożej wielkości, jest choćby naiwny fakt, że w obrazach religijnych gotyku spotykamy nieraz małe figurki zwykłych śmiertelników, namalowane obok figur świętych nadmiernej wielkości.

Na tem tle wyrastającej niejako z tematu i z psychicznego nastawienia średnio-wieczna obowiązującej irrealności obrazu powstaje doskonała abstrakcyjna kompozycja, a poprzez konieczność czytelnego podania tematu widzowi przychodzi dokładne posłu-giwanie się naturą w opowiedzeniu szczegółów przy równoczesnem podporządkowaniu ich układu ogólnemu ładowi danej kompozycji, a co za tem idzie, opowiedzenie tych detali w pewien sposób specjalny.

Warto się zresztą przyjrzyć tym szczegółom realistycznie podpatrzonym przez mistrzów gotyku. Madonny gotyckie mają łagodnie uśmiechnięte twarzyczki mło-dych dziewcząt o drobnych ustach, szeroko rozstawionych oczach, mają szlachetnie modelowane wysokie czoła, otoczone miękkimi falami włosów, mają czasami twarze starcze i zatroskane biednych matek, czasami trochę brzydkie albo zgoła nijakie twarze zwykłych mieszczek, jakich tysiące spotykamy w miasteczkach. Chrystus, Bóg Ojciec, apostołowie, Święci i Święte, wszyscy z silnie podkreślonym wyrazem, mają ludzkie cierpiące i czujące twarze, włożone w odcieleśnione figury o ruchach niemal nierzeczy-wistych. I z poza tych abstrakcyjnych, logiką konstrukcji obrazu czy rzeźby otrzy-manych przecięć, pochyłeń wyłania się nieraz nieuchwytnie niemal jakaś intymność gestu, na gorącym uczynku w życiu podpatrzonego. W rezultacie niezależność od na-tury w proporcjach i układzie zasadniczym, przy realizmie szczegółów, i autonomiczna egzystencja dzieła sztuki, stworzonego według własnych prawideł: — oto spuścizna artystyczna gotyku.

Ta niezależność od natury przy równoczesnem oparciu się o nią, to właśnie umie-jętne zespolenie elementów realistycznego i abstrakcyjnego, cały — słowem — sposób podejścia człowieka średniowiecza do natury, jak również charakter twórczości pla-stycznej gotyku są niejako dowodem rzeczowym negacji potrzeby ist-nienia o b j e k t y w n e j r z e c z y w i s t o ś c i dla sztuki w tej epoce.

I oto w tem właśnie miejscu spotyka się gotyk z współczesnością. Najistotniejszą bowiem cechą współczesnej plastyki, jej punktem wyjścia i umotywowaniem jej bogatej różnorodności przy stałem bądź co bądź nawet u najzacieklejszych abstrakcjonistów indy-widualnem opieraniu się w jakiegokolwiek bądź formie i proporcji o naturę, jest właśnie ta negacja potrzeby rzeczywistości obiektywnej. Różnica zasadnicza między średniowie-czem a współczesnością polega na tem, że o ile dla gotyku ta negacja jest przejawem indywidualności zbiorowej, o tyle we współczesności jest ona znakomitą podstawą do rozwojowi indywidualności jednostki.

Jest rzeczą niewątpliwą, że gotyk, ta najmniej zróżnicowana pod względem wyrazu epoka w sztuce miewa dosyć zdecydowane przejawy indywidualności, zarówno narodów jak jednostek. Nie jest to oczywiście indywidualność buntownicza, rozrywająca ramy stylu i epoki, niemniej jednak przejawy jej są dość wyraźne, by móc rozpoznawać mistrzów i ich uczniów i odnaleźć pewne momenty charakterystyczne dla sztuki gotyku w posz-czególnych krajach. Że jednak i w średniowieczu wśród szarych rzesz rzemieślników-artystów trafiały się bunt i tragedje uciśnionej, nie mającej możliwości wypowiedzenia się, indywidualności jednostki — o tem świadczy chociażby fakt znamienny, przyto-czony przez Dr. Michała Walickiego na jego odczycie o sztuce gotyckiej (I. P. S. dn. 7.V.35). Otóż niejaki Łukasz Moser, malując w Tiefenbronn w roku 1431 obraz p. t. Odejście Marji Magdaleny, który odbiegał kompozycyjnem i anegdotycznym ujęciem od przyję-tego przez epokę schematu, a mając świadomość, że wchodzi tem samem w konflikt z odbiorcami, umieścił wokół obrazu następujący napis: „Płacz, sztuko, płacz i lamentuj, albowiem nikomu już dziś nie jesteś potrzebna“. Moser namalował na tym obrazie wielkie morze i w dali drobniutką jak punkcik łódkę, a na pierwszym planie ludzi zmę-

czonych oczekiwaniem. Zamarzyła mu się koncepcja bardziej ludzka, do rzeczywistości zwyczajnej, codziennej bardziej podobna. I tak to się niewinnie zaczęło. Do sztuki coraz wyraźniej zaczęło napływać życie zwyczajne, codzienne, potrzeba opowiedzenia tego, co się wokół dzieje. Stawało się to, rzecz prosta, powoli w ciągu wieków, w rezultacie jednak z indywidualności jednostki narodziła się pogoń za ułudą obiektywnej rzeczywistości. Przez rozwój natomiast tej indywidualności artysta doszedł do zrozumienia, że rzeczywistość obiektywna w sztuce nie istnieje, a tworzenie prawdziwe jest zawsze formalnem odchodzeniem od natury, która przecież jest dla nas przeżyciem, ale nie wzorem, a w sztuce egzystuje już tylko jako rezultat przeżycia. I dzieje się to nawet wtedy, gdy nam się wydaje, że jest inaczej. Takie jest oto błędne koło sztuki, w którym spotkał się dziś my współcześni w bardzo bliskim sąsiedztwie z gotykiem.

Co do samych eksponatów, trudno właściwie o nich sądzić dzisiejszemu człowiekowi; możemy tylko o nich powiedzieć, czy dały nam to wzruszenie, jakiego się oczekuje od dzieła sztuki, czy nie — a to już bardzo osobista sprawa widza. Wartość historyczną zakwalifikowali konserwatorzy, o poziomie technicznym wiemy, że w tej epoce były doskonałe, o stopniu zniszczenia (bądź celowej czy błędnej restauracji) zaopiniowali również znawcy.

Dla mnie osobiście interesujące jest obserwowanie, w jaki sposób ci rzemieślnicy-artyci — poprzez przyjęte kanony kompozycji, powtarzane nieraz dosłownie wzory — wyżywali swoje ludzkie wzruszenie, w jaki sposób w narzuconą formę wkładali swoje przeżycie. Bo że jest ono w sztuce gotyku — to, mam wrażenie, nie podlega dyskusji: gdyby go nie było, dzieła gotyku nie mogłyby na nas tego wzruszenia przerzucać, nie mogłyby, jednym słowem, mieć tego niewątpliwego uroku, któremu ulega każdy widz wrażliwy. Dziedzina ich osobistych możliwości w sztuce była ostatecznie bardzo wąska — były nią właściwie tylko te szczegóły, i może właśnie dlatego człowiek średniowiecza wypowiadał się w nich nieraz z taką bolesną i tragiczną prawie pasją.

Płacz, sztuko, płacz i lamentuj, albowiem nikomu już dziś nie jesteś potrzebna... A może, biedny samotniku średniowiecza, poprzez bezpośredni tragizm niezrozumienia nie mogłeś dojrzeć, że się z tej właśnie samotności rodzi najistotniejszy sens sztuki?...

Leokadja Bielska.

K S I A Ż K I

Dr. Stefan Truchim: Pierwsza bateria haubic Legionów Polskich. Warszawa, Wojsk. Inst. Naukowo-Wydawniczy, 1934.

Co to za wojsko, — zapytywała niegdyś t. zw. „opinia publiczna“, — które w teatrach więcej ma książek niż żywności, więcej papierów niż nabojęw? Dla różnych cesarzy nie ma ono żadnego poszanowania, a i dla śmierci także! Zupełnie odwrotnie wówczas wyobrażał sobie to wszystko „porządny cesarski obywatel“. Rodacy oplakali tych żołnierzyków, gdy wyruszały w pole, nie spodziewając się, by który żywy wrócił. Bo gdzież tej garstce przeciwstawić się milionowym, potężnym armjom! A tymczasem: wszystkie te obce armie w ciągu wojny malały, rozpadały się, ponosiły niepomierne klęski, a ta maleńka armja legionów wzrastała, potężniała, stawała się coraz bardziej dumna i harda, wyzywając najpierw jednego, a potem wszystkich innych wrogów ojczyzny. Jeden odcinek tej pracy twórczej, dla niewtajemniczonych — zdawało się — czarodziejskiej, odsłania nam pamiętnik prof. dr. Stefana Truchima, w którym śledzimy narodziny pierwszej legionowej baterji haubic w 1916 r. Ówczesny wysiłek organizacyjny nad tworzeniem oddziałów był istotnie twórczy, albowiem nie tylko pomnażał kompanje, baterje czy szwadrony, ale w owych warunkach były to zarazem pierwsze i jedyne ośrodki niezależnego polskiego życia publicznego, życia społecznego, która to cecha tak znamienne uwydatniała się u legionistów, że poczęści, ze stanowiska rzemiosła wojskowego, różni zawodowcy wojskowi odrazu tę cechę obywatelską dostrzegali. Legjony były zatem także kuźnią charakterów, w której zaprawiali się młodzi patrijoci do obowiązków państwowych, tych,

które ich czekały po wywalczeniu własnego państwa.

Prof. Truchim brał udział w tworzeniu pierwszych kadr polskiej artylerji i poprzez jego krótkie kronikarskie notatki przebija to głębsze życie bojowników o niepodległość, którego codzienne wypadki wojenne nie tylko nie przesłaniają, ale raczej uwydatniają. Autor wydał swoje wspomnienia w chwili, gdy publiczność zna go już z kilkunastu prac naukowych — choćby wspomnieć książkę, będącą niewątpliwie dalszym ciągiem jego rozmyślań żołniersko - obywatelskich, wydaną po polsku a obszerniej po angielsku p. n. „Polish militarism in the light of history“ — a następnie prace historyczno-kulturalne: „Szkoły rydzyskie Augusta Sulikowskiego“, „Wizyty królewskie“ i t. d., wreszcie wspomnieć należy wzorową monografię „Historja powiatu żnińskiego“.

Pamiętnik legionowy prof. Truchima obejmuje niespełna jeden rok życia artylerzysty, przed którym wyłaniają się coraz to nowe zadania pracy organizacyjnej oraz wypróbowanie tej organizacji w akcji wojennej na froncie wołyńskim. Dzień po dniu śledzimy bieg życia i prac szarego żołnierza, śledzimy wysoki poziom karności, a sposób ujęcia tych wydarzeń, jego prostota i szczerść, dają świadectwo wielkiej dyscypliny umysłowej autora, która jest najpiękniejszą ozdobą podobnych wspomnień. Ponadto ta prostota i szczerść świadczy o głębokim poczuciu obowiązku, którego wykonywanie musi odpowiadać istotnemu położeniu i istotnym potrzebom, gdyż w przeciwnym razie w maszynie organizacyjnej kółka zaczęłyby skrzypieć i łamać się i klęska byłaby nieunikniona. W świetle tych głęboko pojętych obowiązków żołnierskich i obywatelskich możemy dopiero należycie zrozumieć i ocenić to nadzwyczajne koleżeństwo legionowe, u-

służność, czupurność, ale i posłuch, niespożytkany w armjach zawodowych, bo uprzedzający często rozkazy, a wogóle czyniący nawet zbędnym rozkazodawstwo urzędowe. Do tego przyłącza się nadzwyczajny humor, wesoły śpiew i na dłuższych postojach własne pismo obozowe — wszystko ożywione duchem beztrojski, a przecież tem silniej spajające wewnętrzną zwartość oddziałów legjonowych.

Pamiętnik prof. Truchima posiada wartość dokumentu historycznego. Tak dziejopis wydarzeń politycznych, jak historyk kultury, a wreszcie psycholog i socjolog znajdują w nim bogaty materiał dla swych badań. Młodzi koledzy broni, na których barkach obecnie spoczywa wielki i zaszczytny obowiązek podtrzymania tradycji i sławy naszej bohaterskiej armji, znajdą w tej książeczce wskazówki, jakimi to niezawodnymi drogami idzie się do zwycięstwa.

Aleks. Wojtecki.

Henryk Wereszycki: *Anglia a Polska w latach 1860 — 1865.* Nakład Towarz. Naukowego we Lwowie. Lwów, 1934. Str. 207.

Polska polityka w dobie niewoli zdawała sobie dobrze sprawę w momentach przełomowych, zarówno powstań jak kongresów — jakie znaczenie dla sprawy odzyskania niepodległości ma mocarstwo, od nas geograficznie najodleglejsze: Wielka Brytania. Świadczy to o zdrowym zmyśle politycznym naszej nieuznanej urzędowo dyplomacji, iż nad Tamizą pilnowała gorliwie interesów, których orężnie broniła nad Wisłą. Ale sprawy polskie niezawsze miały życzliwą orędowniczkę w polityce angielskiej.

Bardzo sumienna i wartościowa praca dr. H. Wereszyckiego, oparta o archiwała zarówno londyńskie, jak paryskie, wiedeńskie, raperswylskie i krajowe — wykazuje w sposób źródłowy, jak chwiejna w sprawach polskich polityka rządu wiktoriańskiego przyczyniła się nie tylko do niepowodzeń kampanji styczniowej, ale i upadku préstige'u Anglii na kontynencie europejskim.

Stronnictwo „Hotelu Lambert“, które miało w Londynie obrotowego przedstawiciela w osobie hr. Wład. Zamoyskiego — już od r. 1861 pracowało nad pozyskaniem opinii publicznej i poruszeniem czynników oficjalnych, t. j. parlamentu i gabinetu. Tym zamiarem sprzyjała okoliczność, że gabinet Palmerstona opierał swą popularność w izbach na większości zaledwie 20 głosów, ktorými

łatwo było szachować premjera, jeśli się miało poparcie opozycji.

Lecz kwestja zupełnej niepodległości Polski nie była popularna w Anglii — burzyła by ona traktat wiedeński 1815 r., a temsamem szkodziłaby interesom wielkiego przemysłu i handlu brytyjskiego. Popierano natomiast myśl autonomji Królestwa, swobód politycznych i ekonomicznych, słowem — zgadzano się na program Wielopolskiego. Wybuch powstania przyjęto z rezerwą; dopiero głośna konwencja alvenslebenowska z lutego 1863 r. między Prusami a Rosją pchnęła opozycję parlamentarną z lordem Russellem na czele w kierunku Napoleona III, nie godzącego się z kursem Bismarcka. A jednak zwyciężyły obawy król. Wiktorji o Prusy, które mogły zaatakować Francja na linii Renu. To też po odpowiednich sugestiach Londynu na terenie Wiednia, dotąd przychylnego na podszepty Paryża, zdecydowano pierwszą interwencję na rzecz Polski w Petersburgu; nota kwietniowa miała atoli raczej charakter demonstracyjny, niż kateryczny. Nacisk polskiej propagandy skierowuje się odtąd na warstwy robotnicze, a nawet klasę średnią — tak, iż koła antypolskie musiały tej akcji prasowej i meetingowej przeciwstawić wszechpotężny organ „Times“. Była w tem reka bar. Rothschilda, który drząc o swe interesy w Rosji, usłuźnie pośredniczył między ambasadą ros. a redakcją giganta prasowego. A jednak opinja publiczna domagała się od rządu śmielszych posunięć, które wreszcie i samemu Palmerstonowi wydały się konieczne, by odsunąć Napoleona III od myśli wojny z Rosją, bardzo niepożądaną w Anglii. Gen. Zamoyski świetnie wyzyskał ten moment, ks. Wład. Czartoryski stawiał się osobiście w Londynie. Nastąpił moment wyższych nadziei.

I znowu koalicja zwolenników Rosji: Gladstone'a, Napiera, Rothschild'a, niektórych torysów i „Times'a“ zwyciężyła; to też Gorczakow przeciwstawił się śmiało żądaniom autonomji, amnestji i konferencji mocarstw (nota czerwcowej). Najostrzejsza nota lorda Russella co do odmówienia suwerenności Rosji na terenie Królestwa — już po wysłaniu do Petersburga — została cofnięta. W ten sposób osamotniono Francję i przyczyniono się do zwycięstwa Bismarcka (ten pogląd Kłaczki przyjmuje H. Wereszycki z rezerwą). Korespondencja Foreign Office do Petersburga miała już tylko charakter humanitarny, trwając w sprawach powstańców do r. 1865.

Chwiejne stanowisko rządu Zjednocz. Królestwa osłabiło jego głos w konfliktach europejskich, od wojny duńskiej poczynając.

Ale za cenę tego utrzymano prosperity i pokój, ów słynny „pax britannica” doby średnio - wiktoriańskiej.

Książka o polityce angielskiej przed laty 70 nabiera dziś posmaku szczególnie aktualnego, daje pole co najmniej do ciekawych porównań i wniosków. Trudno konkretyzować, jedno jest tylko pewne, iż Anglia nie może być obojętna na sprawy środkowej i wschodniej Europy. Chwiejność jej w tym kierunku pociąga za sobą niepowodzenia na innym odcinku. Czy nie te obawy przywiodły ostatniego ministra angielskiego do Moskwy, Warszawy i Pragi?

*

Albert Gottlieb: P o l e n. Wanderungen eines Europäers. Wien u. Leipzig, 1935; Verlag von Mor. Perles. Str. 402. Przedmowa prof. Stan. Lempickiego.

Każda obcojęzyczna książka o Polsce ma dla nas szczególne znaczenie — zwłaszcza wtedy, gdy autorem jej jest nie - Polak, lub gdy nie jest prostożutym przykładem dzieła, przeznaczonego dla czytelnika polskiego, na język obcy.

Bardzo pokażny tom dr. Gottlieba, zaopatrzonego w wiele oryginalnych fotografii miast i dzieł sztuki polskiej — jest właśnie książką, przeznaczoną w pierwszej linii dla czytelników niemieckich. Ukazanie jej zbiega się — zdaje się całkiem przypadkowo — z wzmożeniem się zainteresowań oficjalnych czynników Trzeciej Rzeszy Polską i jej kulturą. Wewnętrzna treść i geneza książki Gottlieba — to jednak coś znacznie więcej od tych urzędowych, o polityczne momenty opartych, zainteresowań. Mówi o tem i dedykacja książki: „Meiner Frau, die mich Polen lieben lehrte” i cała arcybogata w treść i w piękną formę ujęta jej zawartość. Jest zatem w dziele Gottlieba bardzo cenna dla nas podwójność jego stosunku do przedmiotu jego zainteresowań. Intelkt, wykształcony na kulturze zachodniej, łączy się tu z uczuciem, zbliżającym się serdecznie do psychiki narodu polskiego. Z tej symbiozy wyrasta synteza dziejów Rzeczypospolitej dawnej i odrodzonej.

Forma tej syntezy jest niezwykle oryginalna. Autor nie daje suchego obrazu erudyty - historyka, ani — z drugiej strony — tak modnego dzisiaj reportaży, okraszzonego rewelacjami publicystycznymi z dziedziny polityki, statystyki czy wreszcie obyczajowości. Książka ta jest obrazem wędrowki

pielgrzyma - myśliciela, który umie doskonale wżyć się w przeszłość i rolę obecną każdej krainy Polski, posuwając się po szlaku jej dziejowego rozwoju. Przenosząc się na wodach Wisły, jako centralnej arterii państwa — staje naprzód w Krakowie, „rezydencji królewskiej Jagiellonów”, wchłaniając jej starożytny majestat, przecina następnie Małopolskę i przez centralne krainy Wielkich Dolin, w których krajobrazie porywa go romantyka rozległych pól i lasów, dociera do Warszawy — ośrodka nowożytnej i najnowszej Polski. Płynnie następnie przez Płock i Toruń do Gdańska, zanurza się z lubością w fale polskiego Bałtyku. I znów wraca — już szlakiem lądowym — przez Wielkopolskę i Mazowsze południowe, zatrzymując się w Częstochowie i Łodzi, do Ziemi Czerwieńskiej i Lwowa, którego bohaterką rolę ogarnia tytułem: „Die Loewenburg” i wiąże z Kopcem Unji Lubelskiej jako symbolem. Zamyka tę wędrowkę opis kresów wschodnich aż po Wilno na północy.

W tym szkicu ziem polskich, zatytułowanym: „Das Land” — jest luka bardzo poważna. Brakuje w nim Śląska. Nie jest to jednak ominięcie tendencyjne, bo o znaczeniu tej dzielnicy są wzmianki gdzieindziej, szczególnie przy omawianiu związków kulturalnych polsko - niemieckich (roz. III). Brak ten wynikał z syntetycznego i impresjonistycznego sposobu opisu krain.

Rozdz. II: Die Geschichte — to synteza dziejów państwa od początków zamierzonych do „cudu nad Wisłą”. Ta część książki uderza śmiałością i oryginalnością porównań i uogólnień, zaczerpniętych z świata pojęć i wyobrażeń zachodnio - europejskich. Autor porusza się na przestrzeni wieków z swobodą niebyłą, wykazując doskonałą znajomość dziejów i łącząc kompleksy problemów w sposób własny, nieutarty. Zastrzeżenie może budzić tylko okres porobiorowy, który zamyka autor w jednym ustępie, dzięki czemu poszczególne etapy społecznego rozwoju „Polski” nowoczesnej nie wystąpiły dość wyraziście.

Kulturze duchowej poświęcony jest rozdz. III: „Der Geist”, charakteryzujący geniusz narodowy w dziedzinie nauki i sztuk od M. Kopernika („Die Umrwaelzung des Himmels”) i Jana z Czarnolasu poprzez pisarzy stanisławowskich, wielką trójcę romantyków i Chopina, Fredrę, Matejkę i Grottgera do Prusa, Sienkiewicza i Reymonta. Kulturę materialną z zagadnieniami etnicznymi, społecznymi i gospodarczymi omawia rozdz. IV: „Der Querschnitt”. I tu nie mało zastanawiających twierdzeń. I znów w zamknięciu swej książ-

ki („Wege“) staje autor jako wędrowiec i zadaje sobie pytanie: Was sollen wir denn tun? Odpowiada sam na nie: linja zetknięcia dwu kultur i dwu idei politycznych musi przestać być „granicą krwawiącą“, bo tu winno trysnąć źródło zespolenia ludów Europy. Stąd może iść duch niemiecki na

wschód, ale nie wsparty o przemoc, a owiany duchem braterstwa dla kultur i cywilizacji młodszych. Oto kres wędrówki Europy w jej dziejowym pochodzie. Wiara w osiągnięcie tego kresu — to myśl przewodnia całej książki.

Marjan Tyrowicz.

ś. † p.

JÓZEF JANKOWSKI

POETA, KRYTYK i TŁUMACZ
WSPÓŁPRACOWNIK „DROGI“

zmarł dnia 13 maja 1935 r.

Cześć Jego pamięci!

REDAKCJA „DROGI“

Druk numeru ukończono 6 czerwca 1935 r.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Chmielna 33 m. 5.

Tel. 2.75-34. Konto P. K. O. 518.

Godziny urzędowe Redakcji od 11 — 15.

Godziny urzędowe Administracji od 9 — 15.

Prenumerata: rocznie zł. 20.—, półrocznie zł. 10.—, kwartalnie zł. 5.—.

Zagraniczna kwartalna zł. 6,50.

Cena numeru pojedynczego zł. 2.—, podwójnego zł. 3.—.

Redaktor: WILAM HORZYCA

Redaktor odpowiedzialny: STANISŁAW PODWYSOCKI

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy Świat 47, tel. 635-80 i 635-83.

KWARTALNIK

„EKONOMISTA”

ORGAN TOWARZYSTWA EKONOMISTÓW
I STATYSTYKÓW POLSKICH W WARSZAWIE
pod redakcją prof. EDWARDA LIPIŃSKIEGO

„Ekonomista” jest czasopismem, które czytać musi każdy, kto chce zdawać sobie sprawę z postępów wiedzy ekonomicznej w Polsce i orjentować się w zagadnieniach teorii i polityki ekonomicznej, jakie są w nauce dyskutowane.

„Ekonomista” skupia wokół siebie całą naukę ekonomii w Polsce. Do grona współpracowników „Ekonomisty” należą między innymi: dr. Marek Breit (Warszawa), prof. Stefan Dzięwski (Warszawa), prof. Władysław Grabski (Warszawa), prof. Adam Heydel (Kraków), prof. Konstanty Krzeczkowski (Warszawa), prof. Ludwik Krzywicki (Warszawa), prof. Adam Krzyżanowski (Kraków), Michał Kalecki (Warszawa), prof. Edward Lipiński (Warszawa), Ludwik Landau (Warszawa), prof. Feliks Młynarski (Warszawa), Józef Poniatowski (Warszawa), prof. Stefan Schmidt (Kraków), prof. Edward Taylor (Poznań), prof. Władysław Zawadzki (Warszawa), prof. Ferdynand Zweig (Kraków), prof. Stefan L. Zaleski (Poznań).
Pozatem współpracują ekonomiści zagraniczni, między innymi prof. Friedrich von Fellner (Budapeszt), dr. P. N. Rosenstein - Rodan (Londyn), prof. B. Bruckus (Berlin), prof. F. Hayek (Londyn).

„Ekonomista” daje najwłaściwszą orientację w zagadnieniach ekonomicznych, gdyż ułatwia uzyskanie prawdziwie obiektywnego, naukowego poglądu na te zagadnienia.

„Ekonomista” jest niezbędny dla prowadzących studia naukowe ekonomiczne i pisańcych prace z dziedziny ekonomii.

PRENUMERATA ROCZNA ZŁ. 20.—

**Dla pp. urzędników państwowych, samorządowych,
słuchaczy wyższych uczelni, zamawiających prenu-
meratę bezpośrednio w administracji „Ekonomisty”,
prenumerata ulgowa zł. 12.—**

EGZEMPLARZE OKAZOWE NA ŻĄDANIE

**Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA, UL. SZPITALNA 4**

TEL. 6-46-64

P.K.O. 16118

